

**Danuta Frey**

**OSTATNI REJS**

**„KORALA”**



## Rozdział 1

*Dopiero trzecia nad ranem. Wczesny, szary świt, lecz w tym niewielkim, nadbałtyckim porcie – ożywiony, chociaż zwyczajny o tej porze ruch. Szurając wysokimi gumiakami zbliżają się rybacy. We wciśniętych na głowę beretach idą powoli, stawiają stopy szeroko, niespiesznie, choć kutry czekają. Warczą silniki, z których dobywa się niebieskawy dym spalin. W powietrzu krążą mewy.*

*Obok innych stoi w portowym basenie niewielki stateczek, dawny kuter „Neptun”, gotów do wyjścia w morze. Wśród jego załogi – znani, doświadczeni płetwonurkowie: komendant Hufca OHP – Konstanty Łuniewski, oficer marynarki handlowej na m/s „Albatros,, – Michał Sobol, lekarka – Ewa Sobol oraz pracownik zakładów gastronomicznych – Henryk Adamiak. Wszyscy mają na swym koncie wiele podwodnych wypraw, uwieńczonych powodzeniem. To oni właśnie wydobywali na powierzchnię zachowane resztki zabytkowego statku z piętnastego wieku, na który natrafiono przypadkowo na dnie Bałtyku. Oni badali następny historyczny wrak: szwedzki statek z królewskiej floty Gustawa Adolfa, zatopiony podczas bitwy morskiej pod Oliwą.*

*Obecnie wyruszają na spotkanie kolejnej podmorskiej przygody; na penetrację ogromnego, zatopionego kolosa – wraku słynnej „Elisabeth”. Była to ongiś jedna z największych pływających jednostek III Rzeszy. Zwodowana jako statek turystyczny dla organizacji „Kraft durch Freude” w roku 1937 w Hamburgu miała aż dziewięć pokładów i mogła zabierać równocześnie tysiąc pięciuset pasażerów oraz czterystu członków załogi. W styczniu 1945 roku „Elisabeth”, przekształcona w transportowiec, opuściła Królewiec z około pięcioma tysiącami uciekinierów z ówczesnych Prus Wschodnich oraz z ich dobytkiem.*

*Ale czy jedynie z nimi?*

*Do dziś krążą pogłoski, że w jej ładowniach znajdowały się nie tylko kosztowne depozyty, lecz również i słynna „Bursztynowa Komnata”. To niepowtarzalne arcydzieło, zrabowane z pałacu w Carskim Siole w Związku Radzieckim, zaginęło podczas zawieruchy wojennej.*

*W obie ładownie „Elisabeth” uderzyły torpedy. Jej pokłady pozawalały się wskutek eksplozji, a statek, zatopiony na Bałtyku przez łódź podwodną w styczniu 1945 roku, leży obecnie na głębokości około czterdziestu pięciu metrów pod lustrem wody. Ze względu na*

*rozmiary oraz zniszczenia jest trudny do penetracji. Zachowały się jednakże dawne plany i nimi właśnie zamierzają się obecnie posłużyć płetwonurkowie.*

*„Neptun” wypływa. Rozbija dziobem wodę, pryska na wszystkie strony kroplami. Morze wokół niego jest ciemnozielone. Mija latarnię morską, opuszcza ostrogę mola, eskortowany przez stado krzykliwych mew.*

*Wschodzi słońce. Michał Sobol, który jest zapalonym filmowcem amatorem, nie wypuszcza z rąk kamery. Kieruje jej obiektyw na oddalający się, niknący port.*

*„Neptun” obiera kierunek Nord-Ost-Ost. Z każdym metrem bliżej do miejsca zatopienia „Elisabeth”, oznakowanego obecnie dużą, czerwoną boją.*

*Płetwonurkowie wkładają swoje czarne, piankowe, ocieplane skafandry; ostatni raz sprawdzają sprzęt. Niebawem zanurzą się w toń Bałtyku. Michał Sobol ustawia kolegów na pokładzie do pamiątkowego ujęcia. Znowu terkocze kamera.*

*Na morzu już kołyszże się boja. Tu właśnie spoczywa na piaszczystym dnie wrak „Elisabeth”. Czy ekipa płetwonurków z klubu podwodnego dokona jakichś nowych, rewelacyjnych odkryć? Czy natrafi na ślad „Bursztynowej Komnaty”?*

Artykuł nosił tytuł: *Na spotkanie podwodnej przygody. Gdzie jest „Bursztynowa Komnata?”* Piotr Willner przeczytał go uważnie na tarasie własnej willi, wybudowanej niedaleko Nicei, na francuskiej Riwierze nad Morzem Śródziemnym, na stromym zboczu, gdzie kwitły rododendrony, drzewa pomarańczowe i glicynie.

Tego trzydziestopięcioletniego obecnie bruneta los obdarzył sportową sylwetką oraz tak zwaną męską, mocną twarzą, z którą znakomicie mógłby reklamować najnowsze marki samochodów, papierosów, koniaków względnie innych rozkoszy konsumpcji. W rzeczywistości, o ile cokolwiek kiedykolwiek zachwalał, to tylko własne projekty, ponieważ z zawodu był architektem. Przed ośmiu laty wyjechał z Polski do Francji i tam już pozostał.

Decyzja ta stanowiła właściwie wynik splotu przypadków.

W Paryżu Willner dostał się do jednej z licznych tutaj prywatnych firm projektowych, której właścicielem był monsieur Patin. Pan Patin miał córkę, Anette, ta zaś dość często odwiedzała ojca w firmie, gdzie naciągała go przy okazji na mniej lub więcej franków. Od pewnego czasu sprawiała poza tym rodzicom pewne kłopoty. Monsieur Patin coraz energiczniej protestował przeciwko włączeniu się córki po podejrzanym lokalach z równie podejrzanymi typami, wśród których trafiali się brodaci, nie myci niechlujcy o długich, tłustych włosach i powolnych ruchach, osobnicy z głowami ogolonymi do skóry nie licząc mysiego warkoczyka lub wąsaci kudłacze z gitarami. Jednakże protesty padały w próżnię, nie

skutkowały. A ponieważ panowała wówczas moda na hippiesów, kontestację, narkotyki, komuny i lewaków, pan Patin nie miał dosłownie chwili spokoju. Kiedy zaś policja zabrała któregoś dnia jego latorośl z seansu narkotycznego, zapłacił nie tylko pokaźną grzywnę, lecz i odbył nader nieprzyjemną rozmowę z komisarzem. Komisarz przedstawił mu przyszłość Anette w tak ciemnych barwach, że pan Patin niemal nie miał odwagi, by o niej myśleć. Musiał jednakże coś postanowić.

Podczas bezsennych nocy sapał, kręcił się, przewracał z boku na bok, wstawał, zapalał nocną lampkę i papierosa. Żona besztła go bez przekonania.

Po wielu debatach, kłótniach i sprzeczkach, podczas których oboje wzajemnie zwalali na siebie winę za złe wychowanie córki, zgodnie postanowili, że Anette trzeba jak najszybciej wydać za mąż, gdyż tylko wtedy się ustakuje. Skąd wziąć jednak odpowiedniego, na dodatek akceptowanego przez córkę kandydata?

Piotr Willner poznał Anette przypadkowo, w firmie. Usłyszał odgłos hamującego samochodu, wychylił się przez okno i ujrzał małe, żółte renault, z którego wyskoczyła nieduża, smągła, młoda kobieta w pantoflach na bardzo wysokim obcasie. Weszła do biura po to, aby się dowiedzieć, że pana Patin nie ma, ponieważ wyjechał niedawno razem ze swoim klientem w okolice Ponthierry, na południe od Paryża.

Anette, gdyż ona to właśnie była, nie tajiła rozczarowania, więcej – złości, którą wyładowała na sekretarce papy. Ta zaś serdecznie nie cierpiała jego córki, więc odpowiadała równie arogancko. Ich głosy dochodziły z sekretariatu do pokoju projektantów, znajdującego się tuż w sąsiedztwie.

W pewnym momencie dialog urwał się ku rozczarowaniu tych wszystkich, którzy mu się przysłuchiwali z tajoną uciechą, a otworzyły drzwi. Głowy szybko pochyliły się nad rajzbretami, jedynie Willner postąpił inaczej. Bez skrępowania otaksował jedyną latorośl domu Patin od stóp do głowy. Uznał, że jest niebrzydka, a już na pewno zgrabna. Miała nogi i biodra bez zarzutu, choć piersi mogłyby być trochę większe.

Mademoiselle Patin zauważyła oczywiście to spojrzenie, w jej dużych, ciemnych oczach odbiło się zainteresowanie. Szybkim krokiem podeszła do Piotra, który umoczył redisówkę w czarnym tuszu i udał pochłoniętego pracą. Ruchem głowy wskazała rozpięty brystol.

– Co to?

– Projekt bungalowu dla niejakiego pana Marineaux – odparł. – Zna go pani?

Rozwlekłe zaczął objaśniać mniej lub bardziej istotne detale. Anette słuchała, jak się wydawało, bardzo pobieżnie, skoro niespodziewanie wtrąciła zupełnie nie na temat:

– Pan nie jest Francuzem?

Willner zaczerwienił się bezwiednie. Wkładał tak wiele wysiłku w możliwie najpoprawniejszą wymowę, że poczuł się nieledwie urażony. Anette jednak kontynuowała:

– Niech pan tylko nie zdradza, skąd pan jest i jak pan się tu znalazł – powiedziała. – Sama zgadnę. Czechy?

Zaprzeczył.

– Rosja? Nie! Rosja nie! Coś innego! Wiem! Pologne, Polonais, tak? Pan z Polski?

Tym razem przytaknął.

Prawie wykrzyknęła:

– Wspaniale! Cudownie! Nigdy dotąd nie znałam Polaka! Niech mi pan opowie, jak u was jest, bo u nas słyszy się czasem takie różne rzeczy...

– Chętnie, jeśli pani się da zaprosić wieczorem, na przykład na wino.

Po krótkim wahaniu zgodziła się i zaproponowała niewielką kawiarenkę w pobliżu wieży Eiffla i Pól Marsowych. Umówili się po drugiej stronie Sekwany, pod fontannami Trocadero.

Wieczorem, gdy się spotkali, Anette miała na sobie białą, lekką, powiewną sukienkę, w której wyglądała wiotko i nierealnie.

Minęli zwykle tu tłumy turystów, ale nie weszli do wnętrza kawiarni. Ulokowali się na ulicy, pod parasolem z napisem „Cinzano”. Jedli lody, pili lemoniadę, zimną wodę Perrier i wino. Pod wpływem alkoholu Anette rozgadała się. Opowiadała o swoim dotychczasowym życiu, dodając, że jest nudne. Piotr nie oponował, choć chętnie by się z nią zamienił, przynajmniej pod względem materialnym.

Wracali piechotą, bulwarem nad Sekwaną, obok placu Inwalidów aż do pałacu Bourbonów. Od rzeki wiał lekki wiatr. Po rozjarzonym Place de la Concorde bez przerwy sunęły samochody. Zza drzew wyłaniała się masywna bryła Luwru.

Willner wierzył, że ów spacer przez nocny Paryż sprawia przyjemność nie tylko jemu, lecz i Anette. Wkrótce przekonał się o swej omyłce.

W ogrodach Tuileries Anette usiadła na kamiennej balustradzie nad stawem, zrzuciła z nóg uplecione z pasków sandały i z westchnieniem ulgi zanurzyła stopy w wodzie. Następnie nabrała jej w obie dłonie, opryskała siebie i Piotra. Śmiała się, gdy strząsał krople, śmiała się jednak i wówczas, gdy ją pocałował.

– Dziwna z siebie dziewczyna – zawyrokował. Sięgnął po papierosy, poczęstował Anette. Przez dłuższą chwilę palili w milczeniu.

– Ty jesteś dziwny! Prawdziwie romantyczny Polonais! Czy u was wszyscy tacy?

Zamiast normalnie wziąć taksówkę, kilometrami na piechotę po Paryżu. A może po prostu nie stać cię na taxi? Może ci brak pieniędzy? Powiedz, chętnie dam! – otworzyła torebkę, zaczęła wyciągać banknoty wrzucone tam byle jak, zmięte.

Piotr odsunął się, zaskoczony i upokorzony. Bez słowa ruszył naprzód. Szedł szybko. Towarzyszył mu chrzęst własnych kroków, daleki gwizd stateczku na Sekwanie i wszechobecny w Paryżu, nie ustający na chwilę także nocą, szum samochodów.

Anette początkowo nie usłyszał, gdyż biegła po trawie boso, bez butów. Zorientował się dopiero wówczas, kiedy go objęły z tyłu czyjeś ramiona.

– Jakiś ty głupi! – szepnęła. – Głupi, a ja zwariowana, słyszysz?

Obrócił ją ku sobie. Światło latarni padało na jej wilgotne włosy, na twarz i wargi mokre od wody.

– Co ja zrobię – powiedział ni to do siebie, ni to do Anette – że mi się podobasz?

Resztę nocy spędzili razem na wąskim łóżku w małym jak nora, dusznym pokoju taniego hoteliku. Przez okno wpadał migotliwy blask reklam i hałas ulicy.

Żegnając się, Anette powiedziała:

– Było wspaniale!

Wieczorem poszli z Anette na Montmartre, gdzie się włóczyli wśród malarzy na placu nieopodal kościoła Sacre-Coeur i grali na automatach na Pigalle. W pobliżu obracały się czerwone skrzydła wiatraka Moulin Rouge. Noc spędzili znów razem i tak to trwało jakiś czas, po czym Willner otrzymał wezwanie do gabinetu pana Patin.

Patron nie widział potrzeby owijania rzeczy w bawełnę. Posadził Piotra naprzeciw siebie przy masywnym biurku i oznajmił:

– Doszły mnie słuchy o panu i o Anette.

Piotr podniósł głowę.

– Kocham Anette.

Pan Patin zapalił cygaretkę.

– Bardzo pięknie, a ona? – zagadnął. – Czy i ona darzy pana identycznym uczuciem?

Piotr był mile zaskoczony. Spodziewał się nieprzyjemnej rozmowy, nawet zwolnienia, myślał o rychłym wyjeździe. Tymczasem dialog zapowiadał się wcale interesująco.

– Więc?

Monsieur Patin strzepnął stożek popiołu. Zamrugał kilka razy powiekami, które nakryły na moment odrobinę wyłupiaste oczy.

– Wydaje mi się, że tak – odparł Piotr.

Niespodziewanie przypomniała mu się Ewa. Ostatni raz widział ją w Warszawie, tuż przed odejściem pociągu do Paryża. Jej również mówił przecież to samo; zapewniał o miłości. Ale to dawne dzieje...

– Jak pan sobie wyobraża ciąg dalszy? – chciał wiedzieć szef.

– Chciałbym, żeby Anette została moją żoną.

Pan Patin pochylił się, oparł łokciami o wypolerowany blat biurka.

– Mówił pan już z nią o tym?

Willner zawahał się.

– Jeszcze nie... Właśnie...

Szef nie dał mu dokończyć.

– Z czego będziecie żyli?

– Dla architekta zawsze się znajdzie jakaś robota.

Pan Patin zapalił następną cygaretkę. Na jego czole widniały drobne kropelki potu, ale chyba nie z gorąca.

– Racja. Ale czy pan dobrze zna Anette?

– Znamy się niedługo – odrzekł Willner z wahaniem. Nie bardzo pojmował, do czego zmierza patron.

– Anette nie należy do kobiet, które zadowolą się byle czym. Rozumie pan? Przywykła do życia w dobrobycie i nie będzie się umiała bez niego obejść. Czy potrafi go pan jej zapewnić?

– No, na początku... – wybąkał Willner – ...na początku na pewno...

– Postawmy sprawę jasno. Na początku zarobi pan niewiele, a w każdym razie nie tyle, ażeby zapewnić rodzinie życie na należytych poziomach.

Willner przyznał rację. Pan Patin zastukał palcami o biurko. Paznokcie miał wypielęgnowane, krótko obcięte, na jednym z palców gruby, złoty sygnet.

– Wykazuje pan sporo rozsądku. Podoba mi się pan. Zresztą, co tu ukrywać, rozmawiałem już na pana temat z moją córką, a od pewnego czasu obserwuję pana również w pracy. Jest pan niewątpliwie zdolnym architektem i jeśli tylko będzie pan chciał, znajdzie pan daleko.

– Cieszę się... – zaczął Willner, jednakże monsieur Patin znów mu przerwał.

– Reasumując, chcę panu coś zaproponować. Moja firma rozwija się. W niedługim czasie uruchamiam filię na południu Francji i będę potrzebował zdolnych, rzutkich, a zarazem zaufanych ludzi...

Piotr milczał, zaskoczony. Nawet w najśmielszych snach nie spodziewał się takiego

rozwiązania. Natomiast pan Patin pomyślał zadowolony, że upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Wyda Anette za mąż a przy okazji zyska zdolnego architekta, który pomoże w rozkwicie firmy i będzie się o nią troszczył.

– Niech się pan namyśli – zaproponował wspaniałomyślnie. – Jutro czekam na odpowiedź.

Ślub Piotra Willnera z Anette Patin odbył się w paryskim kościele Madeleine, a następnie młode małżeństwo wyjechało na południe Francji, do Nicei, gdzie właśnie powstawała nowa filia firmy. Dwa lata później Piotr Willner był już jej dyrektorem.

Objął to stanowisko wkrótce po urodzeniu przez Anette córki, Jeanne. Przez następne sześć lat Jeanne podrosła, lecz nie przestała być ulubienicą ojca. Natomiast on sam dorobił się, wybudował willę pod Niceą i kupił jacht „Koral”.

Obecnie przeczytał artykuł po raz drugi i po raz drugi również obejrzał zamieszczone obok zdjęcia. Łatwo poznał swoich dawnych towarzyszy z Gdańskiego Klubu Podwodnego. Mało się przez ten czas zmienili. Przyjrzał się uważniej. Może jedynie Ewa...

Po swoim ślubie z Anette Piotr zawiadomił listownie Ewę, że się ożenił. Ewa nie odpisała, więc nie wiedział, co się z nią przez ten czas działo. Dopiero z reportażu dowiedział się, że wyszła za mąż za Michała Sobola, którego także znał.

Spojrzał na datę pisma, dość odległą, sprzed kilku miesięcy. Przysłała je Piotrowi z Polski siostra, z którą utrzymywał sporadyczny korespondencyjny kontakt. Pisała, że reportaż z pewnością go zainteresuje, choć nie udało jej się już, niestety, zdobyć numeru z następną częścią.

„Szkoda” – skonstatował Piotr. Dalsze losy wyprawy na „Elisabeth” rzeczywiście go interesowały. Doszedł do wniosku, że jego koledzy z klubu pewnie zdobyli już spore doświadczenia, skoro porwali się aż na takie przedsięwzięcie.

Niespodziewanie przyszło mu w związku z tym coś do głowy. Nagły, choć jeszcze nie sprecyzowany do końca pomysł...

Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po tarasie, skąd widział dachy Nicei, zielone stożki cyprysów, rozłożyste parasole palm i pinii, a poniżej ciemnoniebieskie, prawie granatowe morze. Poczul zmęczenie, którego powodem nie był jednak nagły wybuch południowej wiosny po długotrwałych chłodach i deszczach.

Powrócił na biały wyplatany fotel.

W porcie w Nicei stał, obok wielu innych, również i jacht Willnera. W ostatnim czasie Piotr używał go często, i często również pływał w dalekie rejsy, chociażby na Korsykę.



Wkrótce zapewne znowu ruszy identyczną trasą...

Pierwsze zarysy planu zaczynały się konkretyzować. Im dłużej zaś o nim rozmyślał, tym bardziej upewniał się, że mógłby znakomicie rozwiązać pewne sprawy.

Zastanawiał się nad jego szczegółami dopóki na wzgórze nie opadł zmierzch, a przed domem nie zahamował jakiś samochód. W ogrodzie ukazała się Anette. Ubrana w długą kwiecistą spódnicę i białą bluzkę z falbanami przypominała urodziwą Cygankę. Była nawet ładniejsza niż wtedy, gdy się poznali, lecz Piotr już jej chyba nie kochał. A może nie kochał jej nigdy, a za miłość brał co innego?

Wyszedł żonie na spotkanie i od razu domyślił się, skąd wraca. Zamierzał powiedzieć coś na ten temat, ale ugryzł się w język. „Nie pora teraz – pomyślał. – Nie pora. Nie mogę sobie pozwolić na żaden fałszywy krok”.

– Anette – zaproponował obłudnie – czy nie zaprosilibyśmy kilku osób na wspólny urlop? Od dawna żalisz się przecież i narzekasz na brak rozrywek, więc?

Spojrzała pytająco, lecz obojętnie.

– O! – zdziwiła się. – Kogo?

– Kilku moich dawnych przyjaciół z Polski – wyjaśnił. – Co byś powiedziała na wspólny rejs „Koralem” na Korsykę?

## Rozdział 2

Za oknem znajdował się taras, za nim ogród i zielone wzgórza, skąd wlewało się do pokoju głośnie, wieczorne granie cykad.

Był koniec sierpnia, koniec także późnego, południowego lata, pory, gdy już dojrzały oliwki i pomarańcze, kiedy zrywano liście z drzew laurowych, a napęczniałe i słodkie od słońca kiście winogron fermentowały w kadziach. Dni jednak i noce szły upalne, nie zapowiadały jeszcze jesieni. Jedynie częściej niż przedtem zrywał się wiatr. Liście na drzewach bardziej trzeszczały niż szeleściły i od czasu do czasu któryś zawirował w powietrzu i opadał na ziemię.

Kostek Łuniewski ostatni raz ogarnął wzrokiem szarzejący pejzaż, ostatni raz spojrzął w dół, gdzie języki fal monotonnie oblizywały morski brzeg. Wrócił długimi krokami na fotel obok Piotra. Willner zauważył, że Kostek wygląda niemal dokładnie tak, jak za dawnych czasów. Może tylko ubyło mu trochę włosów, a przybyło zmarszczek na długiej twarzy. Łuniewski nosił koszulę o wojskowym kroju oraz spodnie w zgniłozielonym kolorze, w czym przypominał leśnika lub oficera.

O swojej przeszłości mówił niewiele i niechętnie, gdyż podobno nie miał się czym chwalić. Pogłoski na ten temat przybyły wraz z nim do Gdańska z drugiego końca Polski i uciły dopiero wówczas, gdy zaczął studiować zaocznie na uniwersytecie. Wbrew przewidywaniom wielu skończył jednak, i to wcale dobrze, socjologię, ale nie przyjął pracy w instytucie naukowym. Został komendantem Ochotniczego Hufca Pracy dla chłopców trudnych jak ongiś on sam, z którymi – jak czasem mawiał – prędzej udawało mu się nieraz znaleźć wspólny język niż z innymi. Zawsze należał jednak do ludzi raczej skrytych niż otwartych, więc i Piotr nie wiedział, czy można mu zaufać.

Teraz Łuniewski miał urlop. Od dawna na niego zasługiwał, więc nie zastanawiał się długo nad zaproszeniem Piotra. Dopiero obecnie...

– A jednak nadal nie rozumiem – odezwał się – dlaczego nas tu zaprosiłeś?

Zaledwie zapytał, a już wiedział, że niepotrzebnie. To, co Piotr napisał mu w liście, na pewno powtórzy również teraz.

Nie omylił się, chociaż nie doczekał się odpowiedzi wprost, lecz bezosobowych stwierdzeń o nagłej ochocie na spotkanie z dawno nie widzianymi przyjaciółmi, a te już znał.

Z przystojnej twarzy Willnera również nie udało mu się nic wyczytać.

– Czy nigdy nie zdarzyło ci się nic takiego? – dodał Piotr.

– Uważam, że odświeżanie wspomnień to nieraz impreza zbyt kosztowna albo zbyt ryzykowana – odparł i znów pomyślał: „Po co go właściwie pouczam zamiast być normalnie wdzięczny za zaproszenie za granicę i nie zastanawiać się nad niczym?” Mimo to nie mógł się jednak powstrzymać i dokończył: – Człowiek po prostu inaczej wyobraża sobie niektóre rzeczy, sprawy, za wiele oczekuje. Stąd i rozczarowanie potem bardziej przykre. Czy obserwowałaś może kiedyś zjazdy absolwentów, na których podtatusiali panowie z brzuskami spotykają swe, równie podstarzałe, koleżanki ze szkolnej ławy? Smutny, niekiedy żaloszny widok.

– Na pewno racja, ale... Czy masz mi za złe, że chciałem was zobaczyć, pokazać, jak mi się teraz żyje, wspólnie powspominać stare dzieje? A wiesz, co jeszcze proponuję?

Łuniewski spojrzał z oczekiwaniem. Oczy miał małe, głęboko osadzone, jakby wpadnięte w głąb twarzy, ale ruchliwe i inteligentne.

– Rejs na Korsykę!

– Na Korsykę? – powtórzył Łuniewski. Koleżeńskie spotkanie zaczynało się stawać naprawdę interesujące.

Willner zaniepokoił się.

– Coś nie tak? – zapytał ostrożnie. – Wybrałem jak mogłem najlepiej. Morze wokół Nicei, i w ogóle na całej Riwierze jest brudne, zanieczyszczone. Wystarczy zobaczyć plaże każdego ranka przed uprzątnięciem odpadków. Rasowy płetwonurek nie ma już tu czego szukać. Musi uciekać w rejony, gdzie woda jest jeszcze czysta. Na Korsyce znajdują się miejsca, w których w morzu widzi się każdy kamień, glon i rybę. Niestety, i tam również człowiek czuje się jak w Wenecji.

Kostek nie zrozumiał.

– Jak w Wenecji? Dlaczego?

– Wenecja ginie, zatapia ją laguna. A nasze morze – brudy, smary, ropa naftowa i inne cywilizacyjne świństwa. Zanim go całkowicie nie zaleją, trzeba wykorzystać ostatnią okazję.

– Mamy niestety prawie identyczne problemy z Bałtykiem – zauważył Łuniewski i poczęstował Piotra papierosem. – Spróbuj naszego extra mocnego. Zobaczysz, czy ci będzie smakował po tych twoich gitanesach.

Podał mu ogień.

– Wiesz – odezwał się po chwili – nie chcę się wtrącać, skądże, jestem jak najdalszy od tego, ale czy naprawdę słusznie...? – jakoś mu było niezręcznie, ale dokończył: – Czy

dobrze zrobiłeś, że zaprosiłeś również i Ewę? Nie obawiasz się jakichś komplikacji i niezręcznych sytuacji?

Willner chyba był przygotowany na to pytanie, ponieważ odpowiedział prawie natychmiast:

– Anette nic nie wie o tej dawnej historii. Natomiast co do Ewy... Jakoś nie wypadało zapraszać tylko samego Michała, bez niej. Poza tym miała przecież wolny wybór. Mogła odmówić.

– Ale tego nie zrobiła.

– Czas kruszy nawet najtrwalsze uczucia.

– Piotr, to banał!

Skrzywił się.

– Może jednak zmienimy temat? Pomówmy na przykład dla odmiany o waszej wyprawie na wrak „Elisabeth”. Znam tylko pierwszą część relacji. A co dalej?

– No cóż – zawahał się Łuniewski. – Wyprawa rzeczywiście dość ciekawa. Czy wiesz, że po raz pierwszy byliśmy pod wodą na takiej głębokości i na takim kolosie?

– Rzeczywiście duży?

– Ponad dwieście metrów długości, wysoki jak kilkupiętrowa kamienica. Przechylony na lewą burzę; w dwóch miejscach, tam gdzie go trafiły torpedy, przełamany. Kadłub grubo porośnięty omułkami. Przy prawej burcie – duże kotwice i metrowe gotyckie litery: „Elisabeth”. Na mostku kapitańskim – dwa szkielety, ubrane w zetłałe marynarskie mundury. Obok przerdzewiały celownik, lampa sygnałowa, cynowy dzbanek, dalej na pokładzie – ludzkie kości. Cała masa kości...

– Makabryczne! – wstrząsnął się Willner.

– Razem z „Elisabeth” poszły na dno tysiące ludzi. Okrucieństwa wojny wszystkich dotykają jednakowo... Dalej natrafiliśmy na rumowisko krzeseł, drabin, przewodów, porozrywanych wybuchami blach. Gdzieniegdzie stały jeszcze w kabinach fajansowe umywalki i nawet wiklinowe kosze ze zbutwiałą bielizną. Chcieliśmy znaleźć dwie ładownie dziobowe, zaznaczone na planach statku, jednakże nie udało się.

– Spodziewaliście się tam „Bursztynowej Komnaty”? – zapytał Willner.

– Byłby to wyjątkowy przypadek – odparł sceptycznie Łuniewski. – Zbyt wiele okoliczności przemawia przeciw hipotezie, że „Bursztynowa Komnata” znajdowała się kiedykolwiek na „Elisabeth”. Raczej wędrowała z Królewca lądem i pewnie wtedy spłonęła podczas działań wojennych.

Willner zdziwił się.

– A wszystko, co pisano?

Łuniewski uśmiechnął się.

– Nie znasz prasy? – zapytał pobłaźliwie. – Z niczego zrobi bombę. Skrycie chyba rzeczywiście łudziliśmy się, że – a nuż – odkryjemy jednak na wraku ślad „Bursztynowej Komnaty”. Naprawdę jednak cel wyprawy był inny. Odkąd na Bałtyk zaczęły wpływać duże tankowce, pojawiło się niebezpieczeństwo, że któryś zahaczy o maszt, „Elisabeth”, tkwiący zaledwie dwadzieścia metrów od lustra wody. Trzeba go było odciąć, ot i wszystko.

– I po to tylko?...

Łuniewski zawahał się.

– No... mieliśmy jeszcze trochę innych zadań. Ale to już czysto fachowe, techniczne sprawy – dodał szybko. – Nie chcę cię zanudzać.

– Wcale mnie nie zanudzasz!

Piotr oczekiwał, że jego gość podejmie na nowo temat „Elisabeth”, jednakże ten albo nie miał ochoty, albo też przeszkodziła mu Anette Willner, która ukazała się w otwartych drzwiach, prowadzących z tarasu.

Jej biała, plisowana spódnica falowała w takt kroków jak żagiel na wietrze. Na głowie miała kapelusz z rafii, o dużym rondzie, również biały. Nie była sama. Kiedy się odwróciła, ażeby powiedzieć kilka słów do kogoś, kto szedł za nią, Kostek spostrzegł Ewę Sobol. Bardziej niż kiedykolwiek rzuciły mu się w oczy różnice, jakie dzieliły te dwie kobiety. Ewa miała wprawdzie regularne rysy twarzy, świeżą cerę, drobne, białe zęby i gęste, związane w węzeł popielatoblond włosy, jednakże jej uroda bladła na tle Anette.

Szła pod rękę z Heńkiem Adamiakiem, kanciastym mężczyzną w niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami i białych spodniach, zawiniętych obecnie do pół łydki. Głowę zasłaniała mu włożona tył na przód czapka z daszkiem, spod której wystawały włosy tak rude, że się aż nie wierzyło w ich naturalny kolor. Podobnie rude wąsy, mięsisty nos, popstrzona piegami twarz i niedbały chód, o który Adamiak troszczył się równie mało co o swój zewnętrzny wygląd, sprawiały, że był tak samo brzydki, jak oryginalny.

Rozejrzał się za miejscem. Znalazł wolny fotel. Nie pytając nikogo ani też nie krępując się nalał sobie szklankę soku grapefruitowego z dużej butelki, stojącej na stole.

Anette cisnęła kapelusz w jakiś kąt i z dwoma szklankami pełnymi soku podeszła do kędzierzawego blondyna, który uplasował się przy kominku i stamtąd błyskał oczami tak niebieskimi jak morze południowe. Opalona, ogorzała twarz sugerowała, że pewnie często pracuje na powietrzu, i tak właśnie było, ponieważ Michał Sobol pływał jako oficer marynarki handlowej.

– Masz, Michel, napij się! – powiedziała Anette, co bardziej przypominało kokieteryjny rozkaz niż propozycję.

Mimo wyraźnego obcego akcentu mówiła dobrze po polsku, co zawdzięczała dużym zdolnościom do języków. Polskiego nauczyła się od Piotra oraz w trakcie lekcji, których ten udzielał córce, małej Jeanne, chcąc, by poznała język kraju ojca.

– Widzieliście już „Korala”? – zagadnął Willner.

– Jasne! – przytaknął Adamiak. – Niezła łajba. I pewnie kosztowała kupę forsy, co? A więc – obejrzelśmy sobie twojego „Korala”, a potem Anette zawiozła nas jeszcze dla rozrywki do Monte Carlo, na ruletkę. Niestety, fortuna przeszła tym razem bokiem – rozłożył ręce. – Nie tylko nic nie wygraliśmy, ale zgraliśmy się na dodatek do suchej nitki.

– To prawda, Anette? – zapytał ostro Piotr.

– Daj spokój! – odpowiedziała niechętnie. – Czy to spowiedź? – I szybko zmieniła temat: – Poszliśmy na kawę do kawiarni na Cap Martin i obejrzelśmy pałac Rainierów o zachodzie słońca. Wspaniały widok, prawda, Michel?

Michał Sobol, do którego skierowała te słowa, nie zareagował na towarzyszące im spojrzenie. Natomiast Piotr poczuł odruchową niechęć do swego gościa. Mimo wszystko Anette nie powinna sobie za wiele pozwalać.

Żona Willnera zaczęła się tymczasem rozwodzić nad urokami Monte Carlo i opowiadać o miniaturowym państewku Monaco na Lazurowym Wybrzeżu. Ponieważ udało jej się skupić na sobie powszechną uwagę, wyglądała na zachwyconą.

– Często tam jeździsz? – zapytała Ewa.

Raptownie się stropiła i nie odpowiedziała. Udała, że nie słyszy, za to pociągnęła do okna Michała Sobola i tam zaczęła mu pokazywać jasne, rozgwieżdżone niebo. W trakcie rozmowy, niby przypadkiem, szepnęła:

– Michel... czy wiesz, że...

Sobol nie doczekał się dalszego ciągu, gdyż niespodziewanie zabłysło światło, a w kierunku okna ruszył Piotr Willner.

– Muszę zasunąć story – oznajmił – inaczej zaraz nas zaatakują roje owadów.

Zaciągnął zasłony i zaproponował przygotowanie kolacji. Anette ruszyła z ociąganiem, jednakże zanim wyszła do kuchni, poderwał się Adamiak.

– Pozwól, Anette, że ci pomogę!

– Ależ, Henri, nie trzeba! Nasza mademoiselle wyjechała wprawdzie z Jeanne do Paryża, do dziadków, lecz jakoś sobie przecież poradzę.

Adamiak zrobił strapioną minę i jęknął z udaną rozpaczą:

– A tak liczyłem, że mnie wtajemniczysz w sekrety francuskiej kuchni!

Anette roześmiała się.

– Czyżbyś był właścicielem restauracji w Polsce, albo – przynajmniej – kucharzem?

– I owszem, prowadzę, tylko że nie restaurację, lecz kawiarnię w Gdyni.

– Teraz przynajmniej rozumiem twój zapał! – ucieszyła się Anette. Zrobiła jeszcze parę kroków i obróciła się. – A mnie nie wiadomo dlaczego zdawało się, że jesteś marynarzem.

– Byłem – odpowiedział z niespodziewaną zaciętością. Spochmurniał, przez twarz przeleciał mu cień gniewu. – Dobrych parę lat pływałem na „Albatrosie” i pewnie pływałbym do tej pory, gdyby nie... – urwał. – Nie mnie zresztą pytaj, lecz innych, dlaczego tak nie jest. Na pewno cię lepiej poinformują – rzucił w głąb pokoju wrogie, nieprzyjazne spojrzenie i oświadczył dobitnie: – Nawet przyjaciel okazuje się czasem świnią.

– Heniek! – krzyknęła Ewa Sobol. – Heniek, proszę cię, przestań!

Adamiak otrząsnął się jak obudzony ze snu.

– Może masz rację? – rzekł z przekąsem. – Bo i po co? Ewa położyła mu dłoń na ramieniu.

– Heniu, naprawdę dajmy już temu spokój! Tak będzie lepiej.

Heniek uniósł głowę.

– Lepiej? Wierzysz w to?

Atmosfera zrobiła się napięta. Piotrowi nie pozostało nic innego, jak ratować o ile już nie sam nastrój, to przynajmniej pozory.

Skierował rozmowę na inny tor.

– Anette, jeśli Heniek tak się domaga – zaproponował – zabierz go ze sobą. Może się tam rzeczywiście na coś przyda? – odwrócił się teraz do Adamiaka i zażartował: – Nie wiedziałem, że twoje hobby to kuchnia.

– Jeszcze wiele nie wiesz – dodała Ewa tak cicho, iż Piotr z powodzeniem udał, że nie słyszy i tonem równie jak poprzednio lekkim, stwierdził:

– Więc, Heniu, świetnie się składa! Powierzę ci odpowiedzialną funkcję koka na „Koralu” w rejsie na Korsykę.

– Na Korsykę? – powtórzyli jednocześnie Heniek i Ewa.

Willner wskazał na Kostka Łuniewskiego.

– On wie wszystko i wszystko wyjaśni. Mam nadzieję, że rejs się uda, a i pogoda będzie nam sprzyjać.

## Rozdział 3

– Wciąż jesteś zdania, że to on? – zapytał Łuniewski.

– A jakby inaczej? – odburknął Adamiak. – Sam się zastanów. Tylko jeden Sobol widział, co wtedy kupowałem w Stambule i domyślał się, że musiałem później ukryć to na statku. No i – doniósł gdzie trzeba i komu trzeba. Lojalny obywatel, co? Że przy okazji zajął później moje miejsce, to już zupełny drobiazg. Ale i tak prędzej czy później go dopadnę! Niech się tylko nadarzy jakaś sprzyjająca okazja.

Łuniewski obruszył się.

– Zwariowałeś? A może znowu za dużo wypiełeś?

– Spokojna głowa! Wypiłem tyle, ile trzeba. Napij się i ty ze mną – sięgnął pod leżak, na pokład, gdzie stała na wpół opróżniona butelka z wódką.

Łuniewski potrząsnął przecząco głową tak energicznie, że na wypukłe czoło opadł mu kosmyk włosów.

– Ty też nie pij. Po wódce przychodzą człowiekowi do głowy różne głupie pomysły.

– Nie mnie! Ja mam głowę mocną, mnie wódka nie szkodzi! – Heniek uderzył się w pierś, porośniętą rudym zarostem, który wystawał spod rozchełstanej koszuli. – Jak Boga kocham, Kostek, nie szkodzi!

Przechylił butelkę do ust, przełknął nieduży łyk płynu i spojrzał na swego towarzysza przekrwionymi oczami.

– Dlaczego tak pijesz? Nawet tutaj, wstyd – zganił go Kostek. – Kompromitujesz nie tylko siebie, ale i nas wszystkich. Gdyby Piotr wiedział...

– Niby on taki święty? Nie pamiętasz, jak kiedyś wystawił Ewę rufą do wiatru? Ty też nie baw się w księdza. Kazania praw swoim chłopakom z OHP, a nie mnie!

Łuniewski pokiwał sceptycznie głową:

– Człowieku – rzekł – a jednak cię przestrzegam, bo to się kiedyś źle skończy.

Gestem pijackiej przekory Adamiak ponownie sięgnął po butelkę. Kostek Łuniewski usiłował mu ją odebrać, jednakże Adamiak przytulił ją do siebie niczym dziewczynę, wykrzywił się, wstał z ociąganiem z leżaka, chwiejnie przemaszerował przez pokład i zniknął z oczu.

Łuniewskiemu zrobiło się go żal. „Kawiarnia w Gdyni rzeczywiście nie zastąpi ani



morza, ani statku, zwłaszcza gdy ktoś już pływał tyle, co Heniek” – pomyślał.

Spojrzał w górę, na niebo bezgwiazdne i tak przymglone, jakby go wcale nie było. Zauważył przy tym, że wzmaga się wiatr.

Wieczorem wiatr spotęgował się. Jacht nie szedł już tak równo jak poprzednio, ale kołysał się. Fale, które pojawiły się nie wiadomo skąd, stawiały coraz większy opór, bryzgały spod dziobu aż na pokład.

Wszystko wskazywało, że zbliża się sztorm. Horyzont przecięła odległa błyskawica.

Michał Sobol i Anette Willner nie zauważyli jej. Okna kabiny we wnętrzu kadłuba jachtu były małe, przesłonięte firankami, a na dodatek raz po raz zalewała je woda. Michał chciał wprawdzie wyjść na pokład, jednakże Anette, która najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy ze zmiany pogody, zatrzymała go.

– Michel – szepnęła czule i równie czule przyłgnęła do niego – bardzo mi się podobasz, wiesz?

Gdyby mu to oświadczyła jakakolwiek inna dziewczyna, Michał uznałby ją zapewne za niezdolnie nachalną. Anette jednak, nie ukrywał tego sam przed sobą, pociągała go. Mimo to usiłował stawiać opór.

– A twój mąż, a Piotr? – zapytał bez przekonania.

– Co tam Piotr! Gwiżdżę na niego! Teraz wolę ciebie od niego!

Michał nie bardzo wiedział, jak zareagować na tak wyraźną i zaborczą deklarację. W rezultacie poddał się Anette, która szybko przejęła inicjatywę.

Po kilku pięknych minutach w uszach Sobola zadźwięczał nagle sygnał alarmowy. Nie był to naprawdę sygnał, a delikatny odgłos zamykanych drzwi. Ktoś, kto był przed chwilą świadkiem sceny, której nie powinien widzieć, zapewne zniknął już na pokładzie.

Michałowi zrobiło się bardziej niż głupio. Poczł wstręt do siebie. Złość wyładował niespodziewanie na Anette, którą odtrącił, gdy mu ponownie zarzuciła ramiona na szyję.

Spojrzała z niezrozumieniem w oczach.

– Słuchaj, Anette – powiedział twardo i nieprzyjemnie – to bez sensu. Ty masz męża...

Nadal nie wiedziała, o co mu chodzi. Przecież zaledwie przed chwilą...

– Mówiłam ci, gwiżdżę na Piotra!

– Ale ja nie! Zaprosił mnie, jest gospodarzem, więc powinienem być lojalny w stosunku do niego... Poza tym chodzi również o moją żonę, o Ewę... – niemiła to była rozmowa i chciał ją jak najszybciej zakończyć. – Anette, jesteś naprawdę bardzo atrakcyjną kobietą. I naprawdę podobasz mi się.

– Więc?

– Zrozum, nie mogę! Nie tu, niemal na oczach Piotra i Ewy. Już i tak ktoś nas zobaczył.

– Boisz się?

– Może...

– Tchórz z ciebie – rzekła z pogardą, którą maskowała zawód i upokorzenie, jakie ją spotkały. Przywykła zdobywać mężczyzn łatwo i bez oporu; tym większe przeżywała rozczarowanie. – Nienawidzę tchórzy i mężczyzn bez charakteru! A ponieważ mam dobrą pamięć, radzę: schodź mi z drogi! A teraz – krzyknęła histerycznie – teraz się stąd wynoś!

Willner stał przy sterze i z niepokojem obserwował coraz to większe fale. W południe słuchał radiowych komunikatów meteorologicznych. Zaniepokoiła go zapowiedź burz i silnych wiatrów, ale uważał, że „Koral” da sobie jakoś radę.

Sprawdził kurs i pozycję. Jeśli się nie mylił, powinni się już znajdować za przesmykiem pomiędzy niewielką wysepką Capraia a Korsyką. Za stolicą Korsyki – Bastią – rozciąga się Laguna de Biguglia, dalej lotnisko, następnie bagniste ujście największej rzeki na wyspie, Golo. Za deltą Golo teren się szybko podnosi, brzeg staje się skalisty, na horyzoncie widać szczyty Monte San Piętro i Capo d’Arcaratta. Okolice tu dzikie, słabo zaludnione, drogi kiepskie, rzadkie, jeśli pominąć nadmorską, z Bastii do Bonifacio na południowym cyplu Korsyki.

Pochylił się nad żyrokompasem i odwrócił dopiero wówczas, kiedy zbliżył się Heniek Adamiak. Nie wyglądał na specjalnie trzeźwego, Piotr poczuł od niego alkohol.

„Gdybym wiedział – pomyślał – że pije, pewnie nie posłałbym mu zaproszenia. Skąd mogłem jednak przypuszczać? W artykule nie było o tym ani wzmianki...”

– Czego chcesz? – zapytał opryskliwie, dając do zrozumienia, że jest zajęty i że Heniek mu jedynie przeszkadza.

– Po... Pogadać...

– Teraz akurat? To takie ważne?

Heniek chybnął się.

– Teeraz...

Ewą nie patrzyła, jak Kostek, w niebo, lecz przyglądała się ciemnej niczym tusz wodzie. Nie myślała o nadciągającym sztormie, ale – nie wiadomo dlaczego – o swoim dotychczasowym życiu. Wspominała dzień lekarskiego dyplomu, pracę w przychodni, później w szpitalu, pożegnanie z Piotrem, list z Paryża z zawiadomieniem o ślubie z inną. Kto

wie, jak by to przeżyła, gdyby nie Michał Sobol, który zaopiekował się nią wtedy? Dopiero później powiedział jej, że ją kocha i wkrótce się pobrali.

Od przybycia tutaj zauważyła spojrzenia Anette. Dobrze znała kobiety tego rodzaju; zaborcze, pewne siebie i swoich pieniędzy, pewne również, że zdobędą każdego mężczyznę, na którego przyjdzie im aktualnie ochota. Ewa już raz dała sobie zabrać Piotra. Nikt nie odbierze jej Michała. Nigdy! – pomyślała, a wargi jej mimowolnie się zacisnęły. Przetarła dłonią spocone czoło.

W tym momencie nadciągnął dosyć chwiejnym krokiem Heniek Adamiak. Kiedy się wreszcie zbliżył, bez słowa stanął obok Ewy. Myślała, że będzie tak stał wiecznie, jednak nareszcie się odezwał.

– Ewuniu! – wyjąkał. Odszukał w ciemności jej rękę, do której przylgnął lepкими, wilgotnymi ustami. – Ewuniu, czy ty się na mnie nie pogniewasz, jak ci coś powiem?

Zaśmiała się nieszczercze, ponieważ poczuła ukłucie niedobrego przeczucia.

– Dlaczego niby miałabym się gniewać?

– Ewuniu, bo wiesz, ja ciebie tak lubię! Twój mąż to świnia, ale ty jesteś prawdziwy anioł! – oświadczył z pijackim przekonaniem.

– No, no – powiedziała Ewa bynajmniej nie rozbawiona. – Słuchaj, Heniek, czas chyba, żebyś się trochę przespał. Zejdź ze mną na dół, do kajuty, to ci zaaplikuję aspirynę z witaminą C i zaraz się poczujesz lepiej.

– Czuję się zupełnie dobrze. Wręcz wspaniale, ale muszę z tobą porozmawiać.

– Więc mów wreszcie!

Wiatr dał raz z południa, raz z południowego wschodu, od gorących, pustynnych piasków Afryki, prawdziwe sirocco. Huraganowe podmuchy wdzierały się w cieśninę między Korsyką a Wyspami Toskańskimi: Elbą i Pianezzą. „Koral” chybotął się na huśtawce fal, które wynosiły go w górę, aby za chwilę rzucić w dół.

Anette stała na pokładzie zalanym deszczem i falami, kurczowo uczepona masztu, chora fizycznie i psychicznie. Nigdy dotąd nie przeżyła ani nie widziała czegoś tak strasznego. Dużo by dała za to, ażeby się stąd wydostać. Nękana chorobą morską, zielona na twarzy, nie czuła jak przemaka do nitki, jak cienka sukienka przylepia się do ciała. Nie słyszała podmuchów wiatru, ani nawet nie rejestrowała kołysania. Widziała jedynie bezskuteczność wysiłku dotarcia do kajuty, a kiedy się przewróciła, potoczyła się po śliskich deskach, gdzie nie znalazła żadnego punktu oparcia. Raz za razem nadciągały nowe fale, a w ślad za nimi nowe przechyły, które ją rzucały od burty do burty i toczyły po pokładzie jak kulę bilardową.

W pewnym momencie ręka Anette natrafiła na czyjaś inną, podobnie moką i lodowato zimną. Sięgnęła dalej i wtedy wokół palców owinęły się lepkie pasma włosów.

Statek stanął niemal dęba, zakołysał się potężnie z rufy na dziób.

– Nie! – krzyknęła Anette. – Nie!

Raptownie runęła na nią wodna góra.

Łuniewski z trudem posuwał się po rozchybotanym pokładzie. Twarz miał słoną i moką od deszczu i od fal. „Koral” starał się wprawdzie utrzymać kurs pod wiatr, ale podmuchy spychały go, kładły raz na tę, raz na przeciwną burzę, huśtały i wystawiały na najgroźniejsze, boczne przechyły.

Nowa błyskawica przecięła horyzont i utonęła w morzu. Rozległ się huk grzmotu, a ledwie umilkł, pojawiła się następna. Deszcz wzmagął się, już nie padał, lecz lał.

Przy większym od poprzednich przechyle jachtu fale podcięły Łuniewskiemu nogi. Zatoczył się, rzuciło go na bok, pod lewą burzę. W tym momencie „Koral” wyprostował się, woda runęła z szumem w przeciwnym kierunku, a razem z nią coś potoczyło się ciężko na pokładzie.

Łuniewski nachylił się. Zapalił sztormową latarkę i ujrzał Anette, z ręką zaczeponą o rude, pozlepiane włosy Heńka Adamiaka. Jego twarz była woskowo blada, powieki zamknięte.

Łuniewski przeraził się, lecz zabrakło czasu na namysły. Wykorzystał moment spokoju, przyklęknął, zarzucił sobie Anette na plecy i powłókł za sobą Heńka. Na szczęście miał już niedaleko.

Piotr Willner starał się nadal utrzymywać jacht na kursie pod wiatr, jednakże sztorm spychał „Koralą” w kierunku nadbrzeżnych skał. Na nich właśnie załamywały się i wybrzuszały wodne góry, gnane z pełnego morza. Odbite, wracały w znacznie groźniejszej postaci spienionej fali przybojowej, wokół której tworzyły się prądy i przeciwprądy.

Strumienie deszczu ograniczały widoczność do kilku metrów, jacht raz po raz przechylał się tak bardzo, że jego burty równały się z linią wody. Za chwilę miało się stać coś jeszcze gorszego.

– Piotr, motor nawalił!

Willner poznał głos Ewy, a zaraz dostrzegł i ją samą. Miała porozdzieraną w kilku miejscach zydwestkę z kapturem, spod którego wyzierała ociekająca wodą twarz i mokre włosy.

Jacht, pozbawiony mocy, zaczął dryfować. Przypominał samochód, który wpada w

poślizg na mokrej jezdni i nic go nie może zahamować. Wszystko wokół hałasowało, przewracało się i kotłowało.

W ciemności zamigotały naraz regularne błyski latarni morskiej. Brzeg był już więc niedaleko, a „Koral” dryfował prosto na skały i własną niewątpliwą zgubę. Wiatr stopniowo słabł, lecz nadal nie malała fala. Nie zwiastowało to niczego dobrego. Specyfika Korsyki polega na przeplataniu się, występowaniu obok siebie wybrzeży skalistych i piaszczystych. Tuż obok znacznych głębokości pojawiają się denne płycizny. Wysoka sztormowa fala odbija się od nich, wraca, uderza znów o skały i potęguje swą siłę. Powstaje niszczycielska fala przybojowa, nie oprą się jej nawet większe jednostki, co dopiero jacht. A w tej chwili „Koral” znajdował się już przypuszczalnie w takim właśnie obszarze.

Z powodu wiatru i fal nie mogli się zdecydować ani na użycie pneumatycznej dingi, ani tym bardziej kamizelek ratunkowych. W przypadku rozbicia się mieli jedynie znikome szanse.

Willner usłyszał ostrzeżenie Łuniewskiego:

– Skały! Piotr, właśnie wystrzeliłem ostatnią raketę alarmową i wtedy zobaczyłem skały! Niesie nas wprost na nie!

– Włącz syrenę alarmową!

Przybój napierał obecnie na jacht, odrzucał go od brzegu i zaraz, z podwójną siłą, przyciągał. Głos syreny ginął wśród huku morza.

Jeszcze nie umilkł, gdy na pokładzie rozległ się tupot. Ktoś biegł, uciekał przed kimś drugim, kto starał się go dogonić, jednakże pozostawał w tyle.

Łuniewski usłyszał głos Ewy.

– Kostek, zatrzymaj ją! Inaczej gotowa wpaść do morza!

Skoczył naprzód i prawie się zderzył z Anette.

– Anette! – krzyknął. – Stój! Co chcesz zrobić? Oszalałaś?

Szarpała się z nim dobrą chwilę, zanim jej opór wreszcie zelżał.

Ni stąd ni zowąd obróciła się i pokazała za siebie:

– Tam – powiedziała – on tam jest! Zabiłam go!

Niespodziewanie „Koralem” wstrząsnęło silne szarpnięcie. Jakby potężna pięść uderzyła gdzieś w bok, w poszycie, potem ponownie – w dno. Odepchnięty cofnął się, ale już przez wyrwę w kadłubie zaczęła się wlewać do środka woda.

„Podwodna skała” – pomyślał ze zgrozą Łuniewski, i w tym momencie usłyszał zbawczy warkot silnika. „Koral” wyprostował się i poszedł szybko dziobem pod fale, do brzegu.

## Rozdział 4

– Nie tylko, że go nie zabiła, ale w ogóle nie stało mu się nic poważniejszego prócz niewielkich i niegroźnych obrażeń głowy. Podejrzewam; że po prostu wypił wtedy za wiele, a potem podczas jakiegoś większego przechyłu stracił równowagę, uderzył się o coś i upadł. Na pewno przeleżał jakiś czas na pokładzie, zanim go tam nie odkryła przypadkowo Anette, a potem, ich obojga, Kostek Łuniewski. Moim zdaniem Heniek powinien być dozgonnie wdzięczny losowi za to, że go znaleziono w porę, dzięki czemu nie zmyło go do morza, nie utonął, a nawet nie dostał zapalenia płuc, choć przemókł do nitki i przemarzł. Natomiast wyobrażam sobie przestrasz Anette, gdy się natknęła na Heńka. Musiał być zimny jak trup i pewnie też tak wyglądał.

Ewa siliła się na beztroski ton, jednakże nie było jej wcale wesoło. Myślała o tym, co usłyszała od Adamiaka i żałowała, że się w ogóle zdecydowała na przyjazd. Niestety, było już za późno na wycofanie się. Prócz przyznania się do porażki, którego nie chciała, nic by zresztą prawdopodobnie nie osiągnęła. Już raczej powinna załatwić te sprawy sama i tutaj, na miejscu. Znajdzie przecież jakąś okazję...

Rejs na Korsykę szczęśliwie dobiegł końca, chociaż wylądowali gdzie Indziej niż Piotr planował. Nie przy ujściu rzeki Golo, lecz dalej na południe, na skalistym wybrzeżu wyspy. „Koral” nie nadawał się jednakże do dalszych rejsów, lecz do remontu, a jego załozce należał się odpoczynek.

– Ale dlaczego, u licha, ubzdurła sobie, że go zabiła? – chciał wiedzieć Piotr. Siedział obok Ewy Sobol na skale w pozie godnej fotografii, która by satysfakcjonowała producentów obcisłych koszulek trykotowych, krótkich szortów i plażowych sabotów.

Morze już się uspokoiło, o niedawnym szkwale przypominały jedynie stopy czarnych wodorostów oraz plamy brudnożółtej piany.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Mogła dostać szoku, chociażby pod wpływem sztormu, a potem widoku Heńka – jak jej się pewnie wydawało – martwego. Takie rzeczy się zdarzają, szczególnie ludziom o słabszej kondycji psychicznej. Nie znam zresztą całej sytuacji. Może twoja żona przewróciła się podczas przechyłów, a upadła właśnie na Adamiaka? Albo to rzeczywiście ona popchnęła go wówczas, nieumyślnie, ale tak nieszczęśliwie, że uderzył się o coś głową i stracił przytomność? W każdym razie powstało u

niej poczucie winy, rozładowane następnie w histerycznym wybuchu z usiłowaniem skoku za burtę włócznie.

– Ale jak mogłaś do tego dopuścić? – zapytał z pretensją, w której zabrzmiał jednak jakiś fałszywy ton. – Przecież Kostek zostawił Heńka i Anette na dole pod twoją opieką!

– Heniek wymagał jej bardziej niż twoja żona. Zrobiła zresztą na mnie wrażenie tak wyczerpanej, że naprawdę mnie później zaskoczyła.

Przyjrzał się jej uważnie. Gdyby wypadało, chętnie by jej doradził umalowanie ust i policzków, bez czego wyglądała daleko niekorzystniej niż w Nicei. Zmienił pozycję. Podkurczył kolana i oparł się o nie łokciami.

– Może zaszło coś między wami?

Ewa zachnęła się.

– A cóż się mogło zdarzyć? Mało się już działo?... Ach! – zorientowała się nagle – czyżbyś podejrzewał, że twoja żona uciekała przede mną? – Jej policzki nie wymagały już różu, gdyż same poczerwieniały. – Że ja jej chciałam zrobić coś złego? – wzruszyła ramionami. – Nonsens! Jakie miałabym, u licha, powody? Demon zazdrości dawno mnie już opuścił. Słuchaj! – chwyciła Willnera za rękę – a może ty sobie wyobrażasz, że ja jeszcze coś do ciebie czuję i przyjechałam po to, żeby cię o tym przekonać? Śmieszne! Ani mi w głowie, tak samo jak nie mam żadnego żalu do Anette. Stało się co się stało i teraz uważam, że dobrze. Nie bylibyśmy dobraną parą.

– A Michał? – zapytał Piotr. – Kochasz go?

– To moja sprawa – ucięła.

– Nie tylko.

– O! – zdziwiła się. – Niby dlaczego?

– Bo jeśli tak – radzę ci go lepiej niż dotąd pilnować. W przeciwnym razie może mu się przydarzyć coś złego.

Wyraz jej oczu powiedział Willnerowi, że zrozumiała.

– Boli jak cholera! – poskarżył się Adamiak i dotknął czubkami palców obandażowanej głowy. – Gdzieś wewnątrz cwałują po moich szarych komórkach setki koni. Człowiek by je rozgonił na cztery wiatry, ale jakieś ukryte ogrodzenie nie pozwala. Teraz już chyba pojmujesz, jak się czuję?

Łuniewski przyjrzał się krytycznie koledze.

– Istotnie – przytaknął. Głowa Heńka przypominała duży, napełniony powietrzem balon, który tylko przez pomyłkę przyłgnął do ludzkiego ciała.

– A ty byś wyglądał dobrze, jakby cię tak ktoś zaprawił jak mnie?

– Nikt cię nie zaprawił. Sam się tak urządziłeś. Przestrzegałem cię, żebyś tyle nie pił, ale nie słuchałeś, no i widzisz, do czego doszło. Tylko idioci albo samobójcy chleją na statkach, zwłaszcza podczas sztormu.

Heniek wysłuchał tego bez słowa i rozejrzał się wokół.

Znajdowali się w sporej kotlinie, którą tworzyło zakole żwiru, naniesionego przez potok zwykle latem wyschnięty, obecnie jednak wezbrany po niedawnym deszczu. Rwała nim mętna woda i wpadała do morza, gdzie rozlewała się w rdzawą plamę. Nieopodal potoku rosły suche, kłujące krzaki akacji, berberysu i jeszcze jakieś inne, w Polsce nie znane. Wśród trawy żółkłej od słońca widniały resztki skruszałego, kamiennego muru, zapewne pozostałość po opuszczonym przez mieszkańców domu. Kotlinę zamykały z trzech stron skały, przy czym po bokach były to strome cyple, opadające pionowo do morza. Kończyły one dość rozległy płaskowyż. W pewnej odległości za płaskowyżem biegła szosa.

Namioty stały właśnie w owej kotlinie, ukryte, odizolowane i zasłonięte skałami jak grzyby przez mech. Z morza sterczały mniejsze i większe kamienie. W jaki sposób „Koralowi” udało się przez nie przedostać – i to w sztormowych warunkach – pozostawało zagadką.

Obecnie jacht, zakotwiczony w pewnej odległości od kotliny, na głębinie, czekał na remont. Michał Sobol mniemał, że przy sprzyjających warunkach dostaną się do stoczni w Bastii o własnych siłach. Aby się jednak upewnić, popłynął raz jeszcze sprawdzić silnik oraz prowizoryczne uszczelnienie poszycia. Wziął jedną z dwóch gumowych dingi, którymi dostali się z „Korala” na ląd. Druga kołysała się na wodzie, przy brzegu. Ewa i Piotr gdzieś zniknęli, natomiast Anette spała w dużym namiocie z wystającym daszkiem nad wejściem.

Pod takim samym daszkiem siedzieli Adamiak i Łuniewski. Łuniewski zamienił bluzę i spodnie na ciemnogrnatowe elastyczne spodenki kąpielowe, wyciągnął przed siebie długie, muskularne lecz mało opalone nogi i patrzył, jak Heniek popija przez przezroczystą, plastikową słomkę żółtą lemoniadę „sinalco” z metalowej puszki. Obok stała podobna już opróżniona oraz jeszcze jedna puszka z coca-colą.

– Kostek, czy jesteś naprawdę tak naiwny, że dałeś sobie wmówić tę wersję? – zapytał Adamiak, opróżniwszy puszkę.

Łuniewski uniósł brwi.

– Dlaczego niby mam nie wierzyć?

– Już ja wiem swoje! Bracie, za wiele lat pływałem po morzu, żeby się dać nabrać na takie sztuczki! Żebym był najbardziej nawet pijany, żadna siła i żaden sztorm nie zwalił mnie



z nóg, do tego – pozwolił sobie na dowcip – akurat na głowę. Niech ci się poza tym nie wydaje, że jak człowiek trochę sobie – pstryknął wymownym gestem w szyję – to traci i pamięć. I ja pamiętam, że było tak: stałem sobie spokojnie na łajbie, oparty o burtę niedaleko ratunkowej dingi, czułem kołysanie, aż tu nagle – słyszę – ktoś się zbliża...

– No i co?

– Nawet się nie zdążyłem odwrócić... Ocknąłem się dopiero na dole, w kajucie, i zobaczyłem nad sobą Ewę.

– Za mało, żeby kogoś podejrzewać.

– Za mało?

– Przecież nie widziałeś nikogo!

– I tak wiem, kto to! Ten drań Michał! Tylko on mógł mnie tak urządzić!

– Ostrzegałem cię, że szarżujesz. Może w końcu rzeczywiście mu się znudziło?

Adamiak machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Nie o to poszło, stary, nie o to!

– Więc?

– Natknąłem się na nich na dole, rozumiesz, na Michała i Anette. Gruchali jak dwa gołąbki. Chyba nie dość szybko zniknąłem i Michał musiał mnie zauważyć. Mało przyjemna sytuacja i lepiej nie mieć wtedy świadka, prawda?

– Eee... – mruknął Łuniewski. – Mocno naciągana hipoteza. Załóżmy nawet, że to Michał, w co nie wierzę, to po co by cię zostawiał wtedy na pokładzie?

– Może liczył, że reszty dokończą fale, sztorm, przechyły? Albo mu ktoś przeszkodził? Albo bał się, że ktoś go zauważy? Teraz jednak tym bardziej zapłaci cały rachunek. Za tamto na „Albatrosie” i za to na „Koralu” – uśmiechnął się krzywo. – Podwójny rachunek.

Zawziętość w jego głosie nie na żarty wystraszyła Łuniewskiego.

– Heniek, daj spokój! – powiedział pojednawczo. – Nie rób głupstw!

Adamiak zdziwił się nieszczerze.

– Ja? A któż mówi, że ja to zrobię? Może się znajdzie ktoś inny? – w jego oczach zabłyśły złe ogniki.

– Coś ty znowu wykombinował? Co właściwie zamierzasz?

Na usta Adamiaka wypłynął uśmiech tłumionej dotąd satysfakcji.

– Przysługa za przysługę. On mnie – kiedyś, ja jemu – teraz.

Łuniewski nagle przejrzał.

– Heniek...? Ty...?

Chwycił Adamiaka za gołę, zaczerwienione od słońca ramiona.

– Ty komuś powiedziałaś, tak? Powiedziałaś o tym, co widziałaś w kajucie?

– Zgadza się – wycedził wolno Adamiak. – Osobom najbardziej zainteresowanym. Anette ma męża, Michał żonę, więc sam rozumiesz. Trudno mi było przejść obok takiej sprawy obojętnie.

Łuniewski puścił Adamiaka, opadł zrezygnowany na krzesło.

– Nie – rzekł cicho – to nie może być prawdą. Nie wierzę, żebyś się okazał aż taką świnią!

– Nic mu nie wytłumaczę – oznajmił Michał Sobol – ponieważ absolutnie nie dostrzegam żadnej potrzeby usprawiedliwiania się z moich rzekomych, nie istniejących win. A zresztą – dodał z pewnym zniechęceniem – choćbym mu sto razy powtarzał, to i tak za sto pierwszym powie, że to nieprawda i że to ja napisałem na niego donos na „Albatrosie”. Chyba domyślasz się, dlaczego tak postępuje?

Łuniewski, który przypląnął drugą z gumowych łodzi na „Korala”, spojrział pytająco.

– Stawia się po prostu w nader wygodnej zarówno dla samego siebie jak i dla otoczenia sytuacji osoby pokrzywdzonej nie tyle przez los, ile przez wrednego kolegę. W istocie rzeczy chyba sam wiesz, jak było, bo ci opowiadałem. Nie ja go zawiodłem, lecz jego własny spryt. Wydawało mu się, że potrafi podejść wszystkich i tak ukryje złoto ze Stambułu, że go nikt nie odnajdzie. Tymczasem – pech, celnicy przechytrzyli go i wpadł. Ot, cała prawda. Tylko że głupio się potem jakoś do tego przyznać. Ludzie podziwiają cwaniaków, a śmieją się z frajerów. Tak to już u nas jakoś bywa. Więc nikt nie lubi być frajerem. Co innego, jeśli wystąpi jako ofiara donosu. Wtedy na pewno może liczyć na współczucie, ten drugi zaś, rzekomy autor, na równie pewne potępienie.

Łuniewski przygryzł wargi.

– Tak, ale po historii na „Albatrosie” i po wyrzuceniu go z marynarki Heniek stanowczo za dużo pije. A jak pije, traci także i równowagę psychiczną. Boję się, że w takim stanie może się porwać na coś zupełnie nieobliczalnego.

– Ostrzegasz mnie przed nim?

– Coś w tym rodzaju.

– Wybacz, ale mam nieco odmienny pogląd. Wydaje mi się, że człowiek, który wiele mówi, grozi i tak dalej, rzadko kiedy pozostaje równie zdolny do działania i do wprowadzenia swoich pogroźek w życie. Po prostu wyładowuje już swoją złość i swoje rozgoryczenie w słowach.

– Widzę, że stworzyłeś wcale wygodną teorię.

– Tylko dzięki niej jakoś toleruję Heńka. Po prostu staram się go nie widzieć i tak długo, jak tylko można, nie reaguję na jego docinki czy zaczepki.

Zamknął pokrywę silnika, wytarł zabrudzone tłustym smarem ręce w jakąś szmatę, odszedł kilka kroków i przyjrzał się z satysfakcją swemu dziełu.

– Dobra robota! – pochwalił Kostek. – Należy ci się przynajmniej duża wódka. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby...

– Daj spokój! – przerwał Sobol. – Nie prawmy sobie komplementów! Teraz „Koral” będzie mógł popłynąć do stoczni w Bastii o własnych siłach zamiast na holu. Zawsze to bardziej elegancko. A... – zawahał się, skończył wycierać ręce, rzucił szmatę gdzieś w kąt i zaczął się zbierać do odejścia – nie wiesz czasem, jak długo potrwa naprawa? Pytałem Piotra, ale tylko coś odburknął, obrócił się i odszedł. Zupełnie jakby miał przed sobą śmiertelnego wroga, a nie faceta, któremu między innymi zawdzięcza fakt, że jego piękna łajba nie leży gdzieś na morskim dnie albo – rozbita – na skałach. Czy zauważyłeś, jak on się teraz osobliwie zachowuje? – zapytał z pewnym niepokojem. Zmarszczył czoło, zmrużył swoje niebieskie oczy i przez moment sprawiał wrażenie człowieka, który dokonał jakiegoś przykrego odkrycia.

Łuniewski przypomniał sobie zwierzenia Adamiaka. „Czyżby to właśnie przez niego?” – pomyślał, ale ani mu w głowie było dzielić się tym z Michałem.

– Pewnie jest wykończony rejsem – powiedział jedynie. – A może ci się tylko tak wydaje?

Michał zawahał się.

– Nie, chyba nie. Ewa się również zmieniała, chociaż nie umiem określić, na czym to polega.

Łuniewski, który domyślał się przyczyny, usiłował zbagatelizować sprawę, jednakże spostrzegł, że nie przekonał Sobola.

– Niedobrze się stało – rzekł tamten – żeśmy przyjęli zaproszenie Piotra i że tu przyjechaliśmy. To moja wina, ja namówiłem Ewę – nie wiadomo dlaczego zaczął się nagle usprawiedliwiać. – Nie chciała jechać, ale się uparłem. Chciałem ją sprawdzić, rozumiesz? Od lat jak drzazga tkwiło we mnie podejrzenie, że wyszła za mnie tylko po to, żeby zapomnieć o Willnerze, że w gruncie rzeczy wciąż o tamtym pamięta.

Łuniewskiemu przyszło do głowy, iż być może małżeństwo Michała z Ewą wcale nie było tak udanym związkiem, za jaki je uważał.

– Człowiek nie powinien chwalić dnia przed zachodem słońca – odezwał się po chwili Michał. – Znasz przysłowie: „stara miłość nie rdzewieje?”

– Bzdury! Przysłowia nie zawsze są mądrością narodów, a już na pewno nie w tym przypadku. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Michał obrócił się i podał Kostkowi lornetkę.

– Wziąłem kamerę – wyjaśnił – bo przypuszczałem, że uda mi się zrobić parę niezłych ujęć z „Korala” na brzeg. No i kiedy wodziłem obiektywem w poszukiwaniu najlepszego tematu, zobaczyłem... Zresztą, co ci mam mówić... Zaraz się sam przekonasz.

Łuniewski przyłożył lornetkę do oczu.

– O kim właściwie mówisz? – zapytał po minucie.

Michał bardziej wyrwał niż zabrał mu lornetkę.

– Jak to o kim? O Piotrze i o Ewie! Nie widzisz ich? Są tam razem, siedzą obok siebie na skale. A co, nie miałem racji? – zapytał bardziej jednak z goryczą niż z satysfakcją w głosie.

Po południu część kotliny znalazła się w cieniu, który stopniowo ogarniał coraz większą połąć, aż zsunął się do wody. Wtedy niemal niepostrzeżenie, jak to bywa na południu, gdzie dzień od razu przechodzi w noc, pokazały się gwiazdy i księżyc. Rano dzień wstaje równie prędko i równie wcześnie wstał Willner, któremu zależało na jak najszybszej naprawie uszkodzonego „Korala”. Wyruszył jachtem do Bastii i zabrał ze sobą jedynie Anette. Oboje nie byli w najlepszych humorach. Odpływali nachmurzeni, milczący.

Wrócili dopiero wieczorem, ale nie sami. Przywiózł ich motorówką młody człowiek o czarnych, błyszczących w słońcu, kręconych włosach, śniadej cerze, kształtnym nosie i przesadnej skłonności do gestykulacji. Był przystojny urodą amanta z początków kinematografii, choć trochę jak na aktora za niski. Również i oczy nie były marzycielskie, lecz chłodne.

Kostek Łuniewski spojrzał pytająco na Willnera, jednak zanim Piotr mu cokolwiek wyjaśnił, czarnowłosy młodzieniec wyskoczył z motorówki, rozejrzał się bystro wokół i wydał okrzyk egzaltowanego zachwyty:

– Bella, bellissima!

Wyciągnął rękę w wylewnym geście powitania, przedstawił się:

– Giovanni Massino.

Wymienił uścisk dłoni z Łuniewskim, Adamiakiem i Sobolem, na końcu z Ewą, która dopiero teraz się zbliżyła. Miała na sobie jedynie kostium kąpielowy i Massino, tak się przynajmniej wydawało, przytrzymał jej rękę w swojej odrobinę dłużej.

– To Gianni, znajomy mój i Anette – wyjaśnił po polsku Piotr Willner.

Nareszcie udało mu się przycumować motorówkę.

– Si, si – potwierdził pospiesznie Massino, który zrozumiał jedynie swoje imię.

– Gianni mieszka na stałe w Rzymie i... – Willner nie zdążył dokończyć, ponieważ Massino wyraźnie się ucieszył.

– Roma! – wykrzyknął z identyczną jak przedtem emfazą. – Roma, una bella citta! Si, Pietro?

Szykował się już do dalszych zachwyków nad pięknem Wiecznego Miasta, kiedy Piotr, który najwyraźniej nie chciał przeciągać rozmowy, wyjaśnił sytuację. Massino to antykwariusz z Rzymu, którego poznał dwa lata temu, właśnie na Korsyce, gdzie oboje z Anette spędzali swój urlop. Następnie widzieli się jeszcze kilkakrotnie w Nicei, w której Włoch przebywał w interesach.

„Nie ma co, ruchliwy handlowiec” – pomyślał Łuniewski. Piotr tymczasem relacjonował, jak doszło do obecnego spotkania. Otóż umówili się z Massinem wcześniej. Willner miał przybyć swoim jachtem, natomiast Massino, jak zwykle – promem z Livorno. Zamierzali się spotkać gdzie indziej, jednakże uszkodzenie „Korala” wszystko skomplikowało. Piotr odszukał swojego włoskiego znajomego i przekonał go, że powinien się przenieść właśnie tutaj, na camping, gdzie będzie miał więcej współtowarzyszy do nurkowania, które uprawiał. Massino szybko się zgodził, ba, wypożyczył jeszcze w Bastii motorówkę, bez której – z braku jachtu – nie mogliby się obecnie obejść.

Piotr skończył. Massino uważnie zlustrował okolicę. Widać było, że jest tu chyba po raz pierwszy. Następnie wskoczył do łodzi, by po chwili pojawić się – ku zaskoczeniu pozostałych – z nożem w dłoni. Był to dość długi sztylet o ostrej klindze i czarnej rękojeści, z rodzaju tych, jakie często przytracają sobie do pasa płetwonurkowie.

Właśnie to zaskoczenie sprawiło Włocha w szampański prawie humor, skoro zachichotał, powiedział kilka zdań po francusku i znów wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Na koniec wskazał dłonią stary mur.

– Co ten makaroniarz opowiada? – zapytał mało uprzejmie Adamiak. Wczorajszy bandaż na głowie zastąpił znacznie mniejszym i cieńszym plastrem.

– Mówi, żebyśmy się nie obawiali. Nikogo nie chce zamordować – przetłumaczył Kostek, który, podobnie jak Ewa, dość dobrze znał francuski.

– Ale dowcip! Nie wiadomo kiedy się śmiać! – skomentował z dezaprobatą Adamiak.  
– A po co macha nożem jak kosą?

– Zamierza wyciąć kłujące, cierniste krzaki, które mu przeszkadzają w rozstawieniu namiotu.

Massino rzeczywiście zlikwidował co bardziej wystające gałęzie i zaczął stawiać namiot, czym się tak zmęczył, że aż Łuniewskiemu przyszło do głowy, iż chyba częściej gościł w hotelach niż na campingach.

Już myślał go o to żartobliwie zapytać, gdy nagle jego uwagę przyciągnął sprzęt płetwonurka, który Włoch zaczął wyciągać z głębi jednej z przepaścistych, eleganckich toreb. Podeszedł bliżej.

– To pański? – zapytał po francusku.

Włoch rzucił mu bystre spojrzenie i szybko przytaknął.

– Si, si! Naturalnie! Nurkowanie to coś zachwycającego! Cudowna przygoda! Podwodny świat, dziwy natury! – rozwinął przed Kostkiem istny wachlarz zachwyków. Mówił po francusku bardzo dobrze, choć z obcym akcentem.

Łuniewski obejrzał dokładnie skafander. Rzuciła mu się w oczy nowiuteńka, papierowa metka. Podobnie nowa wydała mu się cała reszta sprzętu Włocha i to go zastanowiło. Czyżby kupił to wszystko dopiero teraz? Trochę dziwne, ponieważ każdy normalny płetwonurek zazwyczaj wypróbówuje swój sprzęt przed większymi zejściami pod wodę, by nie być narażonym na jakieś przykre niespodzianki. Czyżby więc Włoch...?

W duszy Łuniewskiego zatliła się iskierka podejrzania. Zarówno przyjazd Massina, jak i sam cel ich obecnego pobytu na Korsyce stały się naraz niejasne. Po co Piotr ich tu w ogóle zaprosił?

Musiał go o to zapytać przy najbliższej okazji.

Okazja taka nadarzyła się już pod wieczór. Kostek pod byle pretekstem wyciągnął Willnera na nadmorską przechadzkę, a kiedy uszli już kawałek i przystanęli, aby zapalić papierosa, zagadnął bez ogródek:

– Piotr, powiedz wreszcie, po co właściwie tu przyplłynęliśmy?

Willner udał zdziwienie.

– Jak to, po co? – zapytał nieledwie z urazą. – Przecież już mówiłem.

Kostek nie dał się jednak zbyć byle czym.

– Słuchaj, jeżeli nie chcesz mówić – nie mów! Twoja sprawa. Być może masz jakieś swoje, może nawet ważne powody. Na nas jednak wtedy nie Ucz.

Zabrzmiało to prawie jak ultimatum, więc Willner się obruszył.

– Ależ, Kostek, co ci przyszło do głowy? Skąd takie podejrzania? Może to Gianni je spowodował?

Łuniewski nie odpowiedział, więc Piotr, sądząc, że utrafił w sedno, dokończył.

– Jeśli tak, to się mylisz – rzekł z przekonaniem. – Wszyscy Włosi są tacy jak Massino. Przesadnie gadatliwi, gestykulujący, krzykliwi. Ja sam również, choć znam wielu, odnoszę wrażenie, że zachowują się niekiedy jak aktorzy na scenie. Rozumiem jednak, że to cię może drażnić.

– Nie to mnie dziwi, ale fakt, żeś nigdy dotąd o nim nie wspominał. Jeśli już porównujesz ich z aktorami, ten wyskoczył na scenę zupełnie niespodziewanie, jak diabełek z pudełka.

Piotr roześmiał się, chyba szczerze.

– Nie miałem pewności – dodał – czy się z nim spotkam. Umawialiśmy się właściwie luźno, więc po cóż było o tym wcześniej mówić?

Łuniewski palił papierosa w milczeniu. Niby wszystko wydawało się jasne, ale...

– Posłuchaj mnie, Piotr, odnoszę wrażenie, że jednak coś ukrywasz – odezwał się po chwili. Zauważył, że Willner chce mu przerwać. – Poczekaj! – powstrzymał go – daj skończyć! Oczywiście, może tak zostać jak jest. Ale – bez nas!

W głosie Piotra pojawił się niespodziewanie ostry ton.

– Co to znaczy, bez was?

– Bastia znowu nie tak daleko. A stamtąd – promem albo statkiem dalej. Nie uda ci się tu nas zatrzymać, jeśli nie będziemy chcieli.

Piotr raptownie złagodniał.

– Dlaczego właściwie mielibyście wyjeżdżać? – zapytał pojednawczo. – Tak nagle i pośpiesznie? Zepsulibyście sobie urlop.

Zaczął przekonywać kolegę, ten jednakże nadal obstawał przy swoim.

Willner rzucił niedopałek papierosa do morza.

– No cóż – rzekł – sam tego chciałeś, więc muszę ci odpowiedzieć wcześniej niż zamierzałem.

## Rozdział 5

– A o co właściwie chodzi? Co to za historia? – zapytała Ewa.

Szła z Kostkiem Łuniewskim ścieżką wzdłuż potoku. Woda w rzeczce opadła i odłoniła białe kamienie. Był ranek, z jeszcze rześkim, a nie upalnym jak później powiewem. Wiatr przynosił świeży zapach ziół. Kostek wdychał przez dłuższą chwilę intensywne południowe wonie. Następnie odwrócił się do Ewy.

– Historia jest rzeczywiście dość osobliwa – wsunął pod płócienną czapkę pasmo włosów, a przy okazji odgonił jakiegoś natrętnego owada. – Może usiądziemy na chwilę? – zaproponował.

Znalazł dla Ewy duży, płaski kamień, sam ulokował się obok, na trawie.

– Prawdę mówiąc zależy mi również na twoim zdaniu. Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz?

Ewa włożyła plażowy kapelusz, który dotąd niosła w ręce. Słońce podniosło się wyżej i zaczynało przypiekać.

– Więc opowiadaj...

Łuniewski usiadł wygodniej.

– Historia, którą usłyszałem od Piotra, brzmi następująco – zaczął. – Pewnego razu Willner zabawił dłużej na jakiejś służbowej konferencji, która się przeciągnęła do późnego wieczora. Miał wprawdzie samochód, ale że trochę wypił, nie chciał tak od razu wsiadać do wozu. Postanowił się przejść po plaży. Uszedł już spory kawałek brzegiem morza, kiedy spostrzegł niespodziewanie jakiegoś człowieka. Człowiek ten wyglądał na włóczęgę; był brudny, zaniedbany... Tuż nad plażą biegnie w Nicei ruchliwa, jasno oświetlona Promenade des Anglais, więc Piotr nie żywił żadnych obaw, kiedy tamten go zaczepił. Właściwie nie była to zaczepka, lecz raczej natarczywa prośba o wsparcie. Willner odmówił, ale włóczęga podążył za nim. To go nareszcie tak zdenerwowało, że po pewnym czasie zatrzymał się i zagroził natrętowi policją. Wtedy włóczęga wystąpił z zupełnie nieoczekiwaną propozycją. Oświadczył mianowicie, że gotów jest sprzedać ni mniej, ni więcej, tylko... plany ukrycia jakiegoś skarbu.

Ewa aż klasnęła w dłonie.

– Ale bajki! Szkoda tylko, że to włóczęga, a nie czarodziej z butelki, który w zamian



za obietnicę zaprzędania duszy snuje mirażę doczesnych pokus. I cóż na to nasz Piotr? – zapytała nie bez ironii.

– Piotr zareagował identycznie jak ty teraz i jak zareagowałby w podobnej sytuacji chyba każdy. Roześmiał się nieznajomemu w nos i oświadczył, że nie na niego takie sztuczki. Rozbawiony chciał odejść, jednakże włóczęga zaczął go zaklinać, iż mówi prawdę. „Czy obito się panu kiedyś o uszy nazwisko Cancellieri?” – zagadnął. „Nigdy – stwierdził Piotr. – Nie znam takiego”. Włóczęga roześmiał się. „Trudno, żeby pan znał, skoro mecenas Cancellieri nie żyje już od wielu lat. Lecz zanim zmarł, prowadził w Nicei wcale dobrze prosperującą kancelarię adwokacką”. „Nie słyszałem – rzekł Piotr. – Mieszkam tu stosunkowo od niedawna. Ale co to ma do rzeczy? Dlaczego miałby mnie obchodzi jakiś mecenas, jakże on się zwał?” „Cancellieri – powtórzył tamten. – Carlo Cancellieri. Na krótko przed śmiercią mecenasa pracowałem u niego. A tak – dodał, widząc niedowierzające spojrzenie Willnera – kiedyś, zanim stałem się tym, kim jestem dzisiaj, byłem zupełnie innym człowiekiem”. Istotnie, wysławił się w sposób, który zdradzał niewątpliwe obycie, a jego francuszczyzna była bez zarzutu. Wzbudziło to niejakię zaufanie Piotra, mimo to zapytał: „Co mnie jednak, na litość boską, obchodzi, u kogo pan kiedyś pracował?” Nieznajomy pokiwał w zadumie głową. „Ma to zasadnicze znaczenie. Mecenas Carlo Cancellieri prowadził szerokie, rozgałęzione interesy. Miał wielu klientów, zarówno w kraju, jak i za granicą”. „Tak?” – stwierdził obojętnie Piotr. Opowieść włóczęgi zaczynała się rozwlekać. Najwidoczniej alkohol wyzwaliał w nim nadmierną gadatliwość oraz skłonność do wylewności. „Słyszał pan kiedyś o skarbie Rommla?” „O skarbie Rommla?” – powtórzył zdziwiony Piotr. „Właśnie. Sześć ciężkich, okutych skrzyń wagi przeszło dziesięciu tysięcy kilo. Łupy z Afryki Północnej, z czasów, kiedy cofający się przed ofensywą Montgomery’ego Afrika Korps Rommla plądrował, co mógł. Sztaby złota, srebra i platyny, szlachetne kamienie, biżuteria, dzieła sztuki. Jesienią 1943 roku załadowano skrzynie na kuter torpedowy, który wyruszył z Zatoki Neapolitańskiej do Bastii na Korsyce, skąd miał dotrzeć dalej, do Niemiec. Jednakże port w Bastii, bombardowany przez Amerykanów, płonął. Równie niebezpieczna wydawała się dalsza droga. Dowódca kutra zdecydował się zatopić skrzynie ze skarbem. Po przestudiowaniu mapy wziął kurs na południe od Bastii. Za ujściem rzeki Golo wybrał miejsce o głębokości pięćdziesięciu metrów i skalistym dnie. Tutaj wrzucono skrzynie do morza”. Willner słuchał, tym razem z nie ukrywanym zaciekawieniem. „A co stało się potem?” – spytał. „Kuter popłynął do Włoch – odparł nieznajomy – do portu Spezia. Tam całą jego załogę.- to znaczy czterech oficerów Wehrmachtu, bosmana Petera Fleiga i trzech marynarzy – aresztowano, postawiono przed sąd wojenny i oskarżono o spisek w celu

zagarnięcia skarbu, będącego własnością III Rzeszy. Sąd skazał oficerów na karę śmierci przez rozstrzelanie; wyrok wykonano tego samego dnia. Marynarzy i bosmana uniewinniono, ale natychmiast wysłano ich na front wschodni”. „A skrzynie ze skarbem?” – zapytał Willner. „W Bastii wybuchło powstanie – wyjaśnił tamten – i w dwa dni później cała Korsyka znajdowała się już w rękach francuskich. Wtedy jeszcze nikt nawet nie słyszał o skarbie Rommla. Któż zresztą mógł wskazać miejsce ukrycia? Oficerowie nie żyli, bosman i marynarze powędrowali na front wschodni, a gestapowcy, którzy przesłuchiwali wszystkich, też najprawdopodobniej zaginęli podczas działań wojennych”. Piotra naszły wątpliwości. „Więc skąd pan akurat o tym wie? – zapytał sceptycznie. – Pewnie wyczytał pan te wszystkie sensacje w jakiejś gazecie?” „Gazety o tym pisały, i owszem – mówił obcy. – Było to wtedy, gdy w Spezii znaleziono akta sądowe z procesu oficerów kutra, wiozącego skrzynie ze skarbem Rommla. Poza tym ten ówczesny bosman, Reig, przeżył wojnę, wrócił do Niemiec i zaraz zaczął się starać o wizę francuską na Korsykę. Francuzi, którzy już znali z akt sądowych ze Spezii historię zatopienia skrzyń, wyasygnowali pieniądze na ekspedycję poszukiwawczą. Zabrali ze sobą Fleiga, jednakże nic nie znaleźli. Fleig twierdził, że trudno mu wskazać miejsce, ponieważ od tamtej pory zmienił się profil wybrzeży u ujścia rzeki Golo. Potem skarbów Rommla szukało jeszcze wielu: Anglicy, Francuzi, nawet tak zwany «syndykat korsykański», czyli tamtejsza mafia. Daremnie. Skarb do tej pory leży na dnie morza. Ponad dwadzieścia milionów dolarów – czy pan to sobie wyobraża?” Piotr roześmiał się serdecznie. Położył pobłażliwie rękę na ramieniu włóczęgi. „A za niewielką stosunkowo sumkę mogę się dowiedzieć, gdzie, co? Człowieku, niechże pan idzie do domu, wyśpi się, a przede wszystkim – wytrzeźwieje. Dobrze to panu zrobi – spojrzał na zegarek. – No, na mnie już czas. Postaliśmy sobie, pogadali, pora się rozstać”. Wyjął z kieszeni parę franków, wcisnął je nieznanemu. „To za zajmującą opowieść – rzekł. – Przynajmniej nie gadał pan za darmo”. Włóczęga obruszył się. „Nie wierzy mi pan?” „Ani słowa – wyznał szczerze Willner. – Trzeba jednak przyznać, iż wybrał pan dość oryginalny sposób zarobkowania. To się nazywa mieć pomysły!” Ale tamten nie dawał za wygraną. „Niech pan zaczeka! Jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Wspominałem o mecenasie Cancellierim i o tym, że pracowałem kiedyś w jego kancelarii. Ale nie wie pan, że pośród licznych klientów mecenasa był również ów marynarz z kutra, który wiózł skarb Rommla – bosman Fleig”. Willner, który zbierał się już do odejścia, przystanął; nieznanemu kuł żelazo póki gorące. „Zdaje się, że mecenas zawarł z nim jakąś umowę, dotyczącą wydobycia zatopionych skrzyń ze skarbem. Prowadził także pertraktacje z władzami francuskimi oraz z pewną agencją w Genui, zajmującą się podnoszeniem wraków z dna morskiego względnie wydobywaniem na powierzchnię ich

zawartości. Wiem o tym, ponieważ sam odnotowywałem korespondencję w tej sprawie. Niestety, zanim wszystko zaczęło się jako tako finalizować, biedny pan Carlo zmarł w Nicei, podobno na atak serca, choć prawdę mówiąc dziwny to i fatalny zbieg okoliczności... Kiedy po śmierci mecenasa porządkowałem kancelarię, zauważyłem, że cała korespondencja z Fleigiem – zniknęła. Też dziwne...”. Willner zgodził się z tą opinią, zaś nieznajomy podjął: „Tak właśnie sobie wówczas pomyślałem. Mecenase Cancellieri nie należał jednak ani do ludzi łatwowiernych, których łatwo nabrać, ani też nie podejmował pochopnych decyzji. Jeśli więc zdecydował się na te wszystkie zabiegi i pertraktacje, było widać warto. Może więc zanotował gdzieś jakąś wskazówkę? Po korespondencji z Fleigiem nie było, jak wspominałem, ani śladu. Znalazłem jednak coś innego; szczegółową mapę Korsyki z obrysowanym kawałkiem morza i wybrzeża. Tę właśnie mapę chcę panu sprzedać. No, jak?” „Taki rysunek każdy sobie może wykonać” – nie ustępował Willner. „Nie każdy jednak będzie naprawdę autentyczny. Ten jest na pewno autentyczny. Przysięgam!” – zaklinał się włóczęga. Willner popatrzył na nieznajomego z zastanowieniem. „Człowieku, albo jest pan genialnym blagierem, albo rzeczywiście mówi pan prawdę. Lecz jeśli to drugie, dlaczego, na litość boską, nosił się pan z tą tajemnicą aż tyle lat? Dlaczego nie sprzedał pan jej komuś dawniej albo po prostu sam nie wykorzystał?” „Ależ ja próbowałem! – zawołał z goryczą nieznajomy. – Próbowałem nieraz! Gdyby nie to, na pewno nie stałbym teraz przed panem w takim stanie! Od tego się wszystko zaczęło! Wszystkie moje nieszczęścia! Opanowała mnie istna gorączka poszukiwań. Mimo kolejnych niepowodzeń – nie rezygnowałem. Sam nie umiem, niestety, pływać i pewnie nigdy się nie nauczę, angażowałem więc coraz to nowych pletwonurków. Rzuciłem pracę, bo przecież ktoś stale musiał ich pilnować. Całymi miesiącami przebywałem na Korsyce”. „I nie zwróciło to niczyjej uwagi? Przecież, jak sam pan powiedział, gazety zajmowały się dość obszernie sprawą Rommla?” – zdziwił się Piotr. „Naturalnie! – odparł tamten. – Pewnego dnia zginął jeden z moich korsykańskich nurków. Gdy go znaleziono, jego ciało było dosłownie podziurawione kulami. Mówiono, że go załatwił tutejszy «syndykat», który miał z nim swoje porachunki. Może i prawda... Odtąd zacząłem mieć poważne kłopoty z ludźmi. Mimo że podnosiłem stawki, zdobywałem ich coraz trudniej. Potem usiłowano mnie przejechać na jednej z ulic Bastii. Wie pan, niby nieszczęśliwy wypadek. Wkrótce poradzono mi, żebym raczej zajął się czymś innym. Widać nie ja jeden byłem tym zainteresowany.

A ja i tak nie miałem żadnego wyboru. Kiedy podejmowałem poszukiwania, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że będą mnie aż tyle kosztować. Poszły na nie wszystkie moje oszczędności, a kiedy ich zabrakło, zacząłem pożyczać. Liczyłem, że wkrótce znajdę majątek

i wszystko zapłacę. Stało się inaczej. Gdy opuszczałem Korsykę, byłem kompletnie zrujnowany. Żeby pospłacać długi, musiałem sprzedać wszystko, co miałem – westchnął. – Tak to się właśnie zaczęło. Chwytałem się jakichś dorywczych prac, rozczarowanie topiłem w alkoholu. Rozpiłem się. Nie wiem, dlaczego panu akurat to teraz mówię, ale mówię prawdę”. Umilkł, by podjąć po chwili: „Zamiast na wozie, wylądowałem pod wozem. Jednej rzeczy się jednak nie wyzbyłem: mapy z kancelarii mecenasa. W głębi ducha wciąż miałem nadzieję, że jednak pojedę jeszcze na Korsykę i w końcu mi się uda. Tak mijał czas, a wraz z nim traciłem przyjaciół i zdrowie. Widzi pan, jak wyglądam? Niech mi się pan dobrze przyjrzy!” Pociągnął Piotra w bardziej oświetlone miejsce i stanął naprzeciw. Istotnie, nie prezentował się najlepiej. Był nie tylko nienaturalnie wychudzony, ale wręcz wyniszczony. Miał trupio bladą cerę i zapadnięte oczy. „Jestem chory na raka” – oznajmił bez ogródek i znowu wsunął się w cień. Piotr aż się zachnął na tę okrutną szczerość. „Tak, i wiem o tym! Niech mnie pan tylko nie próbuje pocieszać, bo tego nie znoszę. Kiedy ból szarpie człowiekowi wnętrzności, pomaga tylko morfina albo alkohol. Jedno i drugie kosztuje. Potrzebuję pieniędzy – oznajmił wprost – a nie mam nic do sprzedania prócz tej mapy”. Willner poczuł litość. „Dobrze – zgodził się – kupię ją. Ile pan chce?”

Nieznajomy wymienił jakąś sumę, Piotr wypisał czek i wręczył mu. W zamian dostał mapę.

W domu poczuł złość na samego siebie, że dał się nabrać. Cisnął mapę do biurka – a przedstawiała ona rzeczywiście jakiś fragment wybrzeży Korsyki z zaznaczonymi tam punktami – i prawie o niej zapomniał. Jednakże zaczął się dopytywać, sprawdzać, no i dowiedział się, że ów mecenas Cancellieri, o którym mu opowiadał, włóczęga, rzeczywiście prowadził kiedyś w Nicei kancelarię adwokacką. Podobno, takie słuchy krążyły jeszcze do tej pory, rzeczywiście też kontaktował się z bosmanem Fleigiem. Nazwisko tego człowieka wymieniano w związku z pogłoskami na temat tak zwanego skarbu Rommla, zatopionego najprawdopodobniej pod koniec wojny u wybrzeży Korsyki, a dotąd nie odnalezionego.

Piotr ani spostrzegł, a już cała historia wciągnęła go podobnie mocno jak przedtem nieznajomego z plaży. Zaczął przemyśliwać, obecnie on z kolei, o zorganizowaniu ewentualnej wyprawy poszukiwawczej na Korsykę. Miał przecież mapę, do której autentyczności powoli się przekonywał. Zorganizowanie wyprawy uważał jednak za trudne...

– I kosztowne – uzupełniła Ewa, która dotąd w milczeniu słuchała relacji Łuniewskiego.

Łuniewski przytaknął.

– Bardzo kosztowne.

– Coś mi świta – odezwała się Ewa. – Piotr, zdaje się, doszedł do wniosku, że może mieć wszystko znacznie taniej. Wcale nieźle to sobie wykombinował. Zamiast angażować zawodowych pletwonurków – nam wysłał zaproszenia, ponieważ przeliczył, o ile go mniej będziemy kosztować. Tak?

– Tłumaczył to nieco inaczej -, bardziej koniecznością zachowania tajemnicy niż względami finansowymi. Sam pomysł wpadł mu do głowy niespodziewanie. Przeczytał artykuł o naszej wyprawie na wrak „Elisabeth”, a ponieważ potrzebował do swego przedsięwzięcia doświadczonych pletwonurków, pasowaliśmy mu wręcz idealnie. Pomyślał, że jeśli tropimy „Bursztynową Komnatę”, równie dobrze możemy poszukać i skarbu Rommla. No, a że nie chciał zdradzić tajemnicy w obawie przed konkurencją, stąd gadanina o starej przyjaźni, na którą się powoływał w zaproszeniach i tak dalej.

Ewa zsunęła kapelusz na twarz, przymknęła oczy.

– Daj mi czas do namysłu. Masz pewność, że ten skarb naprawdę istnieje?

Łuniewski zawahał się.

– Piotr twierdzi, że tak, tylko trudno go znaleźć. Liczy na to, że będziemy mieli więcej szczęścia niż inni.

– A jeśli się przeliczy? Skąd możemy wiedzieć, gdzie go właściwie zatopiono?

– Akta sądu wojennego w Spezzii – przypomniał Łuniewski. – Piotr przysięgał, że jeszcze dziś można do nich dotrzeć. Poza tym mapa...

– No dobrze: akta, mapa i tak dalej... Lecz jeśli mapa jest fałszywa? Jeśli ktoś pokreślił ją sobie zupełnie dowolnie, a skarb zatopiono zupełnie gdzie indziej? Założmy jednak, że nawet przy ujściu rzeki Golo... Kto zaręczy, że skrzynie są tam nadal? Mogły je zasypać piasek i kamienie, znieść prąd.

– Wszystko możliwe – zgodził się Łuniewski. – Oświadczyłem zresztą Piotrowi prawie dokładnie to samo i bardzo wątpiłem w szanse powodzenia tego przedsięwzięcia. Ale wiesz, jak jest z fanatykami. Do nich nie docierają żadne argumenty. A Piotr, odnoszę wrażenie, stał się już jednym z nich.

– No a my? – zapytała Ewa. – Jaka miałyby być nasza rola? Jak ją sobie wyobraża?

– Podwodne poszukiwania w miejscach, zaznaczonych na mapie. W razie powodzenia Willner proponuje piętnaście-dwadzieścia procent współudziału.

– Nieźle, pod warunkiem, że ten skarb jest naprawdę wart tak wiele. I jeśli nas nie wystawi do wiatru... Resztę zabierze oczywiście on sam?

– On oraz władze francuskie, ponieważ skrzynie zostały zatopione na francuskich wodach przybrzeżnych.

- Propozycja co najmniej nęcąca, choć brzmi jak bajka.
- Zgadzam się. Ale cóż nam szkodzi potraktować ją jak urlopową przygodę?
- Ciekawa jestem tylko, jak się zakończy – powiedziała w zadumie Ewa.

Adamiak przesunął machinalnie palcami po szczoteczce wąsów i po policzkach czerwonych jak reszta ciała. Za bardzo wystawiał je na słońce, więc teraz pokutował siedząc w cieniu dużego, plażowego parasola.

– Stary, ależ to fantastyczne! – wykrzyknął po wysłuchaniu relacji Łuniewskiego. – Prawdziwa bomba! Wiesz, zdaje mi się, że kiedyś słyszałem już coś niecoś na ten temat. Dwadzieścia milionów dolarów, powiadasz?... Ładna sumka. Wystarczy jedna skrzynka, a człowiek może już do końca życia leżeć do góry brzuchem i nic nie robić... Zresztą znasz Piotra, zawsze szedł tylko na pewniaka. Jakby nie miał wszystkiego dogranego do końca, nie zaryzykowałby ani franka, zwłaszcza na sprowadzenie nas tutaj.

– Więc? – zapytał Łuniewski.

Adamiak nie wahał się ani chwili.

– Nie ma sprawy – odparł. – Jeśli o mnie chodzi, głosuję za tym, żeby zostać. Bo czy coś takiego nadarzy się nam jeszcze choć raz w życiu?

– Potraktujemy to rzeczywiście jako urlopową przygodę, nic więcej – zaproponował Łuniewski.

Sobol pomyślał chwilę i odparł:

– Masz rację, ale tylko tak. Co do mnie – na nic nie liczę, a już najmniej na skarb... Przepraszam cię na moment. – Wszedł do namiotu i wyszedł z niego po jakimś czasie z kamerą w ręku. – Piotr, zdaje się, chce wyruszyć jutro wcześniej rano, więc muszę założyć nowy film i sprawdzić sprzęt – usprawiedliwiał się. Usiadł w cieniu pod daszkiem namiotu i zaczął zakładać film.

– Kolorowy? – zapytał Łuniewski.

– Mhm – przytaknął Sobol. – Udało mi się kupić przed wyjazdem i teraz mam na szczęście spory zapas. A tu jest co filmować pod wodą, prawda?

– Będzie jeszcze więcej, jak natrafimy na skarb Rommla – zażartował Łuniewski.

– Wierzysz, że istnieje?

Łuniewski zastanowił się.

– Bo ja wiem... Jakiś procent szansy zawsze jest...

– Wątpię.

– Dlaczego?

Michał założył film, przesunął taśmę. Kamera zawarczała cicho i umilkła.

– Wszystko w porządku – stwierdził. Zatrzasnął aparat i zaczął sprawdzać wodoszczelną obudowę kamery. – Dlatego, że cała ta historia brzmi dla mnie wręcz fantastycznie. Zbyt dużo w niej dziwnych, niby to przypadkowych zbiegów okoliczności. – Zaniósł aparat do namiotu i wrócił. – Przypadek sprawia, że Piotr wychodzi nocą przejść się po plaży. Na plaży spotyka nieznanego włóczęgę. Włóczęga okazuje się śmiertelnie chory i sprzedaje mapę z miejscem ukrycia rzekomego skarbu Rommla. Nie wspominając już o nieszczęsnym mecenasie Cancellierim i tajemniczym bosmanie Fleigu. Za dużo grzybów w jednym barszczu, żeby go przełknąć bez zmrużenia oka!

– Zastanawiałem się nad tym podobnie jak ty. Z drugiej jednak strony cała reszta brzmi dość przekonująco. Historia zatopienia skarbu Rommla wydaje się autentyczna. Mapa też istnieje, Piotr mi ją pokazywał. Najważniejsze jednak, że Willner ściągnął nas na Korsykę, a jutro mamy zejść pod wodę nie gdzie indziej, lecz właśnie w miejscu zaznaczonym na mapie. Więc – po co?

Michał skrzywił się.

– Ba, żebym to ja wiedział! A po co w ogóle zjawiał się tutaj ten Włoch, jak mu tam?

– Giovanni Massino – odpowiedział Łuniewski.

– Właśnie, ten cały Massino. Zagadkowa figura. Czy to również amator podwodnych łowów?

– Podobno – odrzekł z wahaniem Łuniewski. Przypomniał sobie nie używany skafander i równie nowy sprzęt do nurkowania. – Chociaż Piotr nie rozwodził się specjalnie na jego temat.

– A co w ogóle mówił? Skąd go wytrzasnął?

– To jakiś jego znajomy.

– Nie dowiadywałeś się o nic więcej?

– Dowiadywałem się, i owszem. Piotr dał mi do zrozumienia, że Massino finansuje częściowo koszt poszukiwań.

– Piotra samego na to nie stać? Nie wygląda na biednego.

– Może nie, a może po prostu wolał się z kimś podzielić ryzykiem. Głosuję za tym drugim. Willner nigdy nie należał do ludzi zbyt rozrzutnych i pewnie nie wyzbył się dotąd tej cechy.

– Wziął więc Massina na współnika?

- Tak przynajmniej twierdzi.
- Ciekawe, jak go namówił.
- Może obietnicą podziału ewentualnych zysków w razie powodzenia wyprawy? Poza tym Massino handluje, zdaje mi się, dziełami sztuki i innymi starociami, a do skrzyń zapakowano wiele takich arabskich cacek. Jest o co zabiegać.
- Pięknie, ale czy nie wydaje ci się czasem, że wypakowaliśmy się mimo woli w jakąś osobliwą historię?



## Rozdział 6

Dno porastały prawdziwe podmorskie lasy: wielkie listownice i brunatnice, czerwone krzaki i łąki krasnorostów, nad którymi unosiły się obłoki ryb. Głębiej pod wodą światło słoneczne przygasało. W jednolicie szmaragdowej przestrzeni leżały skalne odłamy z czarnymi kulami kłujących jeżowców, za nimi zaś zaczynał się stromy uskok, potem pas kamiennej płaszczyny, następnie piasek.

Na takim właśnie podwodnym terenie spędzili już prawie tydzień bezowocnych poszukiwań. Ani razu, mimo wielokrotnego schodzenia pod powierzchnię mórz a i dokładnej penetracji, nie zauważyli nawet śladu ni czego, co by choć trochę przypominało zatopione podobno w tej okolicy skrzynie. Mimo to nie byli niezadowoleni. Bogactwo podwodnego świata wiele im wynagradzało.

Ewę zaniepokoiło natomiast coś innego. Oto w okolicy pojawili się jacyś nieznajomi. Było ich dwóch. Po raz pierwszy ujrzała ich z morza, kiedy siedziała w motorówce płynącej wzdłuż wybrzeża. Zauważyła wówczas, że na skraju skalnego płaskowyżu stanął najpierw jeden, następnie drugi mężczyzna. Ten pierwszy miał chyba lornetkę, ponieważ słońce odbijało się w jej soczewkach, i przez nią – jak się wydało Ewie – obserwował właśnie ich motorówkę.

Po jakimś czasie pojawili się w białej łodzi z dużymi silnikiem przy rufie. Ewa skorzystała ze sposobności, ażeby przyrzeć się im dokładniej. Obaj mieli podobne, czarne włosy, jak zresztą większość mieszkańców tej wyspy, nosili identyczne, jaskrawo żółte koszule z krótkimi rękawami, rozpięte prawie do pasa; byli dość młodzi, niewiele ponad trzydziestkę. Przepłynęli obok kotliny chyba celowo bardzo wolno i chyba również nie bez przyczyny badawczo ją przez dłuższą chwilę lustrowali.

Kolejne spotkanie trudno już było złożyć jedynie na karb przypadku. Tuż przed zmierzchem Ewa wybrała się po wodę, a że rzeczka obok niemal zupełnie wyschła, musiała pójść wyżej, tam, gdzie pod skalnym odłamek przegradzającym potok zachowało się jeszcze małe jezioro. Nieopodal zwietrzałe kamienie, żwir i szary piasek tworzyły piarg.

Schyliła się, by nabrać wody, i wtedy usłyszała jakiś szmer. Podniosła głowę, lecz nie zauważyła nikogo. Jednakże żwir i kamienie jeszcze się zsuwały, jakby trącone czyjąś

nieostrożną stopą. Jeszcze drgały niedalekie gęste, karłowate krzaki. Ewa spojrzała ponownie i – po chwili wahania – zaczęła się przedzierać w tamtą stronę. Niestety, uwięzła na dłużej w krzakach, które wczepiły się kłującymi gałęziami w jej spodnie. Tylko z daleka więc zobaczyła znanego już z widzenia czarnowłosego mężczyznę, jednego z tamtych dwóch, którzy płynęli białą łodzią. Ukryty za skałą lornetował wybrzeże. Mimo odmiennego niż poprzednio ubrania – nosił bluzę i spodnie w modnym odcieniu khaki – poznała go prawie natychmiast.

On sam wydawał się tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w pobliżu. Gdy w końcu zauważył Ewę, poderwał się z miejsca i zwinnie jak kozica zeskoczył ze skały, a następnie zniknął wśród wzgórz.

Ewa musiała podzielić się z kimś swoim odkryciem, nie mogła dłużej zwlekać. Po namyśle postanowiła zwrócić się do Piotra; być może on wyjaśni, co to znaczy?

Piotr przyjął jej relację ze źle maskowanym niepokojem a następnie zaproponował, ażeby raczej zachować sprawę w tajemnicy. Zapytała, czy się czegoś obawia?

– Może... – przyznał. – Bywają tu czasem różni niepożądani goście. Krążą rozmaite pogłoski...

Niby się wzdragał, lecz w końcu dodał:

– Opowiadają, że kilkanaście lat temu przybył na Korsykę pewien Niemiec. Szukał skarbu Rommla, aż nagle przepadł bez wieści. Potem jakiś zbyt gadatliwy nurek pochwalił się w bistrze, że odkrył miejsce zatopienia skrzyń. Znalezione go po pewnym czasie daleko w górach, z poderżniętym gardłem. A czy obito ci się kiedyś o uszy nazwisko niejakiego Falcon-Barkera? To dosyć znany śródziemnomorski nurek i poszukiwacz. Omal nie postradał swojego pięknego jachtu „Pagan”, kiedy podczas poszukiwań skarbu zwabiono go fałszywymi sygnałami świetlnymi na skały u wejścia do portu w Alghero. To są ludzie, z którymi nie ma żartów. Może i nas chcą stąd wypłoszyć?

– Ale kto? Dlaczego?

– Chyba wiesz, ile są warte zatopione skrzynie?

– Podobno około dwudziestu milionów dolarów...

– Więc jest czego szukać, a konkurencja nie śpi. We francuskich, włoskich i korsykańskich bistrach od dawna powtarzają sobie z ust do ust historyjki o poszukiwaczach skarbów zakłutych nożami, o prywatnych jachtach, które zaginęły bez śladu wraz z ich załogami, o podwodnych walkach współzawodniczących ze sobą płetwonurków, a nawet o całych bitwach, toczonych na dzikich tutejszych wybrzeżach. Są tacy, którzy nie życzą sobie, aby ich ktokolwiek uprzedził, chociażby tak zwany „syndykat korsykański”. Słyszałaś kiedy o

nim?

– Słyszałam o mafii, a jeśli to coś w tym rodzaju, zupełnie mi wystarczy. Piotr, nie strasz, bo się wycofam!

Willner roześmiał się.

– To wszystko oczywiście tylko plotki, których nikt nigdy nie sprawdzał. Podwodne skarby, zwłaszcza o tak znacznej wartości, obrastają w masę najróżniejszych pogłosek. W gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować. Na razie nic nam chyba nie grozi.

„Oby” – pomyślała Ewa, lecz nie pozbyła się poprzednich niedobrych przeczuć.

Coś poruszyło się wśród skał. Czarnowłosa mężczyzna o smagłej cerze przyłożył lornetkę do oczu. Zobaczył samotną brunatną kozę, leniwie wyskubującą trawę. Odwrócił się i wycelował lornetkę w inną stronę: na morze, po którym płynęła motorówka, wioząca dwoje ludzi.

Była już dość daleko, więc zrezygnował z dalszej obserwacji. Przez wzgórza, które już znał, przez skały i krzaki dotarł do szosy, a stamtąd odjechał białym sportowym samochodem w kierunku Bastii.

Motorówka dopłynęła do Bastii późnym popołudniem. Woda, dotąd szmaragdowa, zmętniała i pociemniała od tłustych plam oraz odpadków. Łódź minęła powoli rybackie łodzie, jachty, kutry, barki i białe spacerowe stateczki, które znalazły przystań w tutejszym porcie.

Stolica Korsyki leżała w łagodnym łuku zatoki, okolonej wzgórzami, na których zbudowano nowoczesne wille. Poniżej zachowała się jednak starsza część miasta: ciasno stłoczone, niewysokie żółte lub białe domy o długich oknach i łusce ciemnoczerwonych dachówek. W podcieniach albo pod kolorowymi markizami znajdowały się sklepy, restauracje, galerie, bistra i kafejki, do których w każdej chwili mógł wstąpić strudzony turysta. Stoliki stały wprost na chodnikach, którymi bezustannie przelewał się kolorowy, rozgadany tłum. Nad domami górował potężny kościół o dwóch dość wysokich, zakończonych kołpakami wieżach i barokowym frontonie. Wąskie uliczki pięły się stromo w górę, zaś przy jednej z nich znajdowało się bistro don Carmela.

Massino z największym trudem znalazł miejsce na przycumowanie motorówki. Wysiadł pierwszy, Willner za nim.

Już na bulwarze, który dotykał morza, rozstali się. Piotr poszedł do stoczni, w której naprawiano „Korala”. Massino natomiast ruszył w stronę bistra don Carmela.

Nie zdążył przejść na drugą stronę ulicy, gdy zza zakrętu wypadł biały, sportowy

samochód z czarnowłosym mężczyzną w bluzie khaki za kierownicą. Włoch uskoczył w ostatnim momencie. Z ostrym piskiem opon wóz minął go dosłownie o centymetry.

„To nie mógł być przypadek, skądże znowu” – pomyślał i mocno roztrzęsiony wszedł do pierwszej z brzegu kafejki, każąc sobie podać podwójną kawę.

Espresso opuścił nieco spokojniejszy, ale bynajmniej nie uspokojony; odniósł bowiem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś go śledzi. Zanim doszedł do bistra don Carmela, oglądał się kilkakrotnie, jednakże za każdym razem widział jedynie ciemno ubrane kobiety w czarnych chustkach, które plotkowały w cieniu domów, dzieci grające w piłkę albo turystów z aparatami fotograficznymi. Raz tylko wydało mu się, że w tłumie przechodniów dostrzega kierowcę w bluzie khaki. Już chciał zawrócić, ale kiedy obejrzał się ponownie, domniemany kierowca zniknął w którejś z obskurnych bram.

„Nerwy oraz nadmierne przewrażliwienie” – zawyrokował i z tym przekonaniem dotarł do bistra don Carmela.

Kiedy rozsunął zasłonę z różnokolorowych pasków i paciorków i wszedł do środka, ujrzał niewielkie, ciemne pomieszczenie, w którym pachniało serem, rybami, przyprawami i papryką. Don Carmelo wyłonił się z kuchni z pękatą, oplecioną wikliną butelką chianti oraz z dużym talerzem spaghetti z mięsny sos, pomidorami i parmezanem. Biały, przybrudzony fartuch opinał tęgą postać.

Na widok przybysza postawił wszystko na szerokiej ladzie przysadzistego bufetu, zbliżył się i wyciągnął wielką, mocno owłosioną łapę.

– Salute! – rzekł.

Cień okrył brzeg, a tam, gdzie ogarnął również wodę, wydawała się ona ciemniejsza i mniej przezroczysta niż gdzie indziej. Urwiste skały dochodziły wprost do morza i prawie od razu zaczynała się głębia.

Anette szła górą, wydeptaną ścieżką. Kiedy się wychyliła zza rudawego głazu, by spojrzeć w dół, zobaczyła Michała, który stał na małym, kamiennym skrawku. Aparat do nurkowania leżał na piasku a on sam wciągnął właśnie swój czarny kombinezon. Anette wiedziała, że wszystkie te przygotowania potrwać jeszcze jakiś czas, więc jeśli się pośpieszy – zdąży.

Wkrótce drogę zagroziła rozpadlina. Musiała ją ominąć i wtedy straciła Michała z oczu. Gdy zobaczyła go znowu, zatrzymała się, niemile zaskoczona. W stronę Sobola zmierzał szybkimi, długimi krokami Kostek Łuniewski.

Zakłęta brzydko pod nosem. „Czy nie pech? – pomyślała – że niepożądany przybysz

zjawia się właśnie teraz, chyba po to tylko, ażeby mi przeszkodzić?”

Oblizwała wargi spieczone od słońca, słone od potu i gorzkie od złości.

Łuniewski stał jak przymurowany. Najpierw podał Sobolowi kamerę, którą przyniósł ze sobą, później zaczęli o czymś rozmawiać, na koniec – jakby i tego wszystkiego było jeszcze mało – pochylił się nad sprzętem, leżącym nieopodal, coś tam sprawdzał, poprawiał.

Złośliwy przypadek pokrzyżował Anette jej zamiary.

Tymczasem Łuniewski uniósł butle w górę, pomógł założyć je Michałowi na plecy. Ten podciągnął przewody, sprawdził reduktor, zsunął na oczy maskę. Z ołowianym i ciężkimi balastowymi przy pasie pomaszzerował w swoich wielkich płetwach w kierunku morza. Łuniewski patrzył za nim tak długo, aż tamten zupełnie nie zniknął pod wodą. Gdy jednak zamierzał już odejść, ze skał spiętrzonych nieomal tuż nad nim doszedł jakiś hałas. Odskoczył. Tuż obok runął na kamienie duży skalny odłamek. Łuniewski aż gwizdnął. „Gdyby nie szybki refleks...” – pomyślał. Spojrzał w górę. Wolał zawczasu zabezpieczyć się przed drugim takim przypadkiem.

Nad urwiskiem wisiała tarcza słońca, która go oślepiła, jednakże wydało mu się, że tam, w górze, skąd spadł odłamek, widzi Anette.

W chwilę później już nie wiedział, czy nie uległ złudzeniu.

Tymczasem Michał Sobol szybko opuścił się na dno. Woda, chociaż głęboka, była przezroczysta. Rozszczepiała promienie słońca na wiązki, plamy, ogniste błyski. Obok przepływały stada ryb o oryginalnych kształtach i kolorach; wargacze i smukłe, srebrzyste makrele, czerwone tuńczyki, małe sole i podobne do fląder piotrosze. Od czasu do czasu pośród kolonii gąbek, gronostów i morskiej trawy przemykały pękate samogłowy albo zawisał przezroczysty, zaciekawiony konik morski. Raz Sobol natknął się na rybę-monstrum o niesamowitym pysku, na wędkarza głębinowego.

Licznik kamery uświadomił mu, że nakręcił już wiele metrów filmu. Żadnego nie żałował. Podwodny świat, zwłaszcza tak bogaty i różnorodny jak ten, zawsze go pociągał. W duchu porównał go z ubogim piaszczystym dnem zawsze zimnego i mętnego Bałtyku. A mimo to... Mimo to zatęsknił przez chwilę za tamtym szarym, północnym morzem. Uczucie było tak silne, że mu ścisnęło serce i zabrało oddech. Co gorsza – nie przemijało! Powietrze dopływało do płuc jedynie ciężkimi, nieregularnymi haustami.

Zaniepokoił się. „Co się stało?” – pomyślał i naraz chyba odkrył przyczynę. Musiał się zaciąć automat do podawania powietrza z butli. Takie przypadki się zdarzają. Na szczęście istnieje jeszcze tak zwany zbiornik rezerwowy. W razie potrzeby wystarczy to na piętnaście

minut nurkowania, czyli na wydostanie się na powierzchnię, zwłaszcza kiedy się nie przebywało zbyt głęboko.

Michał Sobol nie mógł się wynurzyć od razu ze względu, na niebezpieczeństwo dekompresji. Podczas oddychania sprężonym powietrzem azot osadza się w tkankach. Przy zbyt raptownym wynurzeniu płuca nie nadążają z wydalaniem nadmiaru gazu. We krwi tworzą się pęcherzyki azotu, co powoduje bóle dekompresyjne, paralizującą chorobę kesonową albo nawet śmierć. Człowiek, który przebywa zaledwie dziesięć minut na głębokości pięćdziesięciu metrów pod powierzchnią wody, musi się zatrzymywać co pewien czas w drodze powrotnej w czasie równym mniej więcej osiemnastu minutom. Dla głębokości trzydziestu sześciu metrów potrzeba sześciominutowego okresu wynurzania, i tak dalej. Specjalne tablice dekompresyjne, które każdy pletwonurek musi znać na pamięć, określają to wszystko w sposób szczegółowy.

Michał mógł więc pod pływać wyżej jedynie stopniowo i powoli. Równocześnie jednak posuwał się w stronę brzegu. Chciał się znaleźć możliwie jak najbliżej lądu zanim całkowicie wyczerpie się zapas powietrza w zbiorniku rezerwowym.

Mimo kompasu i głębokościomierza, które nosił na rękę, nie zauważył, że zboczył z właściwego kursu, a kiedy się zorientował, miał już zbyt mało czasu, aby naprawić błąd. Nie pozostawało nic innego, jak płynąć dalej.

Dno zmieniło charakter. Zamiast kolonii wodorostów i traw, zamiast łąch piachu pojawiły się wielkie, ponure, potrzaskane płyty skalne. Część z nich leżała płasko na dnie, część wznosiła się stromo w górę i Michał musiał je opływać.

Nagle woda stała się intensywnie szmaragdowoniebieska.

Głazy tworzyły tutaj rodzaj korytarza, który prowadził dalej. Michał zawahał się, jednakże po chwili ciekawość zwyciężyła. Wpłynął do przesmyku, który się urwał równie niespodziewanie, jak się zaczął. Kamienie rozsunęły się na boki i Sobol znalazł się w grocie o skalistych białoróżowych ścianach, wypełnionej wodą błękitną jak farbka.

Wydała mu się tak urzekająco piękna, że pospiesznie zapalił reflektor i uruchomił kamerę. Filmował jakiś czas, jednakże nie mogło to trwać długo. Miał przecież ograniczony zapas powietrza.

Spoglądając w górę zauważył, że woda nad nim nabiera jaśniejszych odcieni. Znajdował się więc blisko powierzchni. Kiedy się wynurzył, zrozumiał, że wpłynął przez przesmyk do niewielkiego jeziora, które wypełniało dolną część groty. Wyżej wznosiły się skały. Przez wąskie szczeliny wlewało się światło.

Zbadał, czy przez którąś z nich będzie mógł wydostać się na brzeg. Nadawała się do

tego celu tylko jedna i przez nią właśnie zaryzykował powrót. Próba nie wypadła dobrze. Jedyne z największym trudem wydostał się spośród głazów, w których uwiązał razem ze swoim sprzętem.

Zrozumiał, że musi go zostawić. Obiecując sobie, że wróci po wszystko nazajutrz, wyszukał odpowiednie miejsce i zawiesił na skalnym załomie butle, reflektor oraz kamerę. Grota sprawiła na nim wrażenie miejsca tak niedostępnego, iż nie przypuszczał, aby ktoś go uprzedził.

Przy kolejnej próbie opuszczenia groty nic nie stanęło mu na przeszkodzie.

Rozejrzał się. Znajdował się dość daleko od znajomej kotliny, już za stromym cyplem. Poczł zmęczenie, więc przysiadł na pierwszym lepszym kamieniu, gdzie chciał odpocząć przed powrotną drogą.

Willner i Massino wracali z Bastii motorówką, obaj w nie najlepszych humorach. Massino przetrwał niedawne zdarzenie na bulwarze. Uparcie wracał myślą do kierowcy w bluzie khaki. Czy to jego rzeczywiście widział później na ulicy po drodze do don Carmela? Jeżeli tak, naprawdę powinni się mieć na baczności. Zwłaszcza iż naprawa jachtu – o czym poinformował go Willner – miała się przeciągnąć. Uszkodzenia okazały się większe, niż się początkowo spodziewano.

Massino nachmurzył się jeszcze bardziej. Wszystko razem przestawało mu się podobać. W powietrzu wisało nie sprecyzowane niebezpieczeństwo.

Piotr chyba się go również obawiał; jego myśli krążyły wokół podobnych spraw. Zbyt wiele z nich nie szło tak jak trzeba i trochę inaczej wyobrażał sobie jednak ten rejs.

Motorówka szybko zbliżała się do stromego, skalistego cypla, który wisił nad morzem jak szpon drapieżnego ptaka.

Na kamieniu siedział jakiś człowiek w czarnym kombinezonie płetwonurka.

– Popatrz – zawołał Piotr – to chyba Michał Sobol!

– Tak późno go zauważyłeś? – zapytał tamten kpiąco. I wysterował motorówkę prosto ku brzegowi.

## Rozdział 7

Ewa Sobol długo nie mogła usnąć. Noc była duszna, choć jasna, z wielką kulą księżyca na niebie, z odgłosami hałaśliwych cykad i niepokojącymi szmerami.

Wieczorem, około ósmej, wrócili z Bastii Willner i Massino. Po drodze zabrali ze sobą Michała Sobolę, na którego natknęli się przypadkowo w pobliżu cypla.

Ewa zauważyła brak sprzętu do płetwonurkowania, a kiedy zapytała męża o przyczynę, opowiedział jej o wypadku z zacięciem się automatu oraz o odkryciu grotu.

– Dobrze, że się szczęśliwie skończyło – skomentowała Ewa. – Bardzo niemiła przygoda, zwłaszcza kiedy się nurkuje samemu. Zdaje się, że nigdy dotąd nie zdarzyło ci się coś takiego?

– Nie.

Twarz miał zmęczoną i zasepioną.

– Całe szczęście, że to tylko automat, a nie na przykład pęknięcie przewodu. Zdarzają się takie przypadki, sam wiesz.

Przytaknął.

– Owszem, ale wyjątkowo. A jeśli... – zawahał się – ...jeśli to wcale nie przypadek?

Ewa zachnęła się.

– Co też opowiadasz!

– Ktoś mógł uszkodzić automat celowo.

– Niby kto? I po co?

Nie odpowiadał.

– Heniek? – zapytała szeptem. – Myślisz o Heńku Adamiaku? Prawda, tyle razy ci się odgrażał! Ale żeby się posunął aż do tego?

Przypomniała sobie nienawiść i swego rodzaju satysfakcję, z jaką Adamiak opowiadał jej na „Koralu” o tym, co zobaczył w kajucie pod pokładem. „Żeby chociaż Michał umiał zachować swój flirt w tajemnicy” – pomyślała. Tego mu właśnie nie mogła darować.

– Dlaczego akurat Heniek? – zapytał Michał.

– Wiesz przecież, jaki jest, zwłaszcza po wódce. Nie panuje nad sobą.

– Wątpię, aby dziś miał okazję do picia – zauważył Michał. – Zapas trunków pewnie się już wyczerpał. Może to inne osoby mają do mnie pretensję? – spojrzał na żonę z ukosa, ale



ta udała, że nie zauważa.

– W zwykłym przypadku – powiedziała – doszukujesz się nadzwyczajnych okoliczności. Lepiej się położyć i prześpij. Jesteś zmęczony, stąd wszystko. Jutro spojrzysz na świat inaczej.

– Jutro idę do grotty zabrać sprzęt i wtedy przekonam się, co w trawie piszczy. W końcu potrafię chyba odróżnić, czy to przypadek, czy nie.

– A jeśli nawet nie, skąd będziesz wiedział – kto?

Odpowiedział natychmiast, widać przemyślał to już sobie wcześniej.

– I tak dojdę prawdy!

W jego głosie zabrzmiała pewność.

Na tym rozmowa się skończyła, lecz Ewa rozpamiętywała ją nadal i to powodowało, że przewracała się niespokojnie.

Michał natomiast już spał. Wrócił do namiotu dość późno i nie zwierzając się, gdzie chodził, położył się i prawie od razu zasnął. Teraz pochrapywał trochę; od czasu do czasu mamrotał coś niezrozumiałego.

Około północy zdrzemnęła się również i Ewa.

Obudziły ją jakieś odgłosy. Pomyślała o dwóch nieznanym i postanowiła wyjść.

Kotline oświetlał księżyc. Na ziemię kładły się długie cienie namiotów i właśnie z za jednego z nich, z za namiotu Włocha Massino, wyłoniła się niespodziewanie Anette. Szybko pobiegła naprzód, jednakże kiedy przechodziła przez mur, nogawka jej pidżamy uwięzła wśród kamieni. Wyzwoliła się dopiero po dłuższej chwili i – rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony – poszła dalej. Ewa patrzyła za nią jeszcze przez pewien czas. Kiedy zauważyła, że Anette znika w swym namiocie, sama również zawróciła. Wsunęła się na materac i wtedy dopiero pomyślała z niedowierzaniem: „czyżby Anette i Massino...?”

W zmieszonym chórze głosów wybijał się dyszkant Massina. Włoch strzelał słowami z szybkością karabinu maszynowego i z większą niż zwykle emfazą.

Adamiak sięgnął po zegarek. Dochodziła dziesiąta. W namiocie, nagrzanym od słońca, było nieprawdopodobnie gorąco. Gdyby tu wisiał termometr, słupek rtęci przekroczyłby niechybnie czterdzieści albo i więcej stopni.

Heniek uświadomił sobie, że zasnął, ale przecież nie bez powodu wczorajszej nocy położył się późno spać. „Stanowczo za późno” – pomyślał. Kiedy się podniósł, ujrzał w wejściu do namiotu głowę Piotra i jego zasępioną twarz.

– Wstawaj, stary! Mamy ładny pasztet!

Heniek zatrzymał się w pół drogi.

– Co się stało?

– Nie słyszałeś? Gianniemu zginął dziś w nocy jego nóż.

Adamiak przetarł oczy, swędzące z niewyspania.

– Jaki znów nóż? – zapytał, choć przecież dobrze wiedział, o co chodzi.

– Nie pamiętasz? Sztylet z czarną rękojeścią, który Gianni brał ze sobą pod wodę. Wczoraj wieczorem zostawił go przez zapomnienie na stoliku obok namiotu, no i nóż wsiąkł!

Adamiak potraktował sprawę lekceważąco.

– No wiesz! Tyle hałasu o nic! Makaroniarz zrobił z gównianej sprawy aferę! O, la la! Sam pewnie zapodział gdzieś swój kozik. Nie martw się – pocieszył fałszywie Piotra – znajdzie się za jakiś czas i będzie nowy temat do dyskusji.

Roześmiał się rubasnie, lecz nie natrafił na odpowiednią reakcję.

– Ja bym tego nie bagatelizował – rzekł Piotr.

Heniek opadł z powrotem na dmuchany materac. Jeszcze chwila, a w tym nieznośnym gorącu wyzionie ducha.

– A co mam robić? Siąść i płakać?

– To poważna sprawa.

W głosie Adamiaka zabrzmiało niedowierzanie.

– Żartujesz! A zresztą! – machnął ręką. – Mało to na Korsyce złodziejasków? Bo chyba ten makaroniarz nie wyobraża sobie, że to ktoś z nas, co?

– A jednak – upierał się Piotr – nóż zginął. I wokół, po okolicy, też się kręcą jakieś podejrzane typy. Boję się, że komuś zależy na wykurzeniu nas stąd.

– Ze strachu przed konkurencją?

– Mhm – mruknął Willner. – Coś w tym rodzaju. Że zaś korsykańscy mafiosi nie przywykli przebierać w środkach...

Nie potrzebował kończyć.

– Chcesz już wracać, tak? – zapytał Heniek.

Willner potwierdził.

– Nie widzę innego wyjścia – uśmiechnął się blado. – Chyba nie damy rady.

Heniek nie krył rozczarowania.

– Więc klapa? Nie za bardzo udana ta nasza wyprawa. Inaczej ją sobie pewnie wyobrażałeś. A na dodatek kosztowała cię masę forsy.

– Trudno – odparł Willner. – Człowiek organizujący tego typu imprezę zawsze się musi liczyć zarówno z ryzykiem, jak i z niewypałem.

Heniek spojrział z powątpiewaniem.

– Prawdę mówiąc nigdy bym nie podejrzewał, żeś taki gracz i ryzykant. Zawsze raczej uważałem cię za faceta, który idzie na pewniaka. Dlatego, przyznam się, trochę się dziwię, że tutaj postawiłeś aż tyle bez żadnej gwarancji.

– To moja sprawa – powiedział oschle Piotr. – Moje pieniądze i moja sprawa! – dodał z niespodziewaną irytacją.

„Nie umie przegrywać – pomyślał Heniek. – I denerwuje się, widać, że się denerwuje”  
Piotr zapewne pojął, że się niepotrzebnie uniósł, skoro rzekł pojednawczo:

– No, stary, nie obrażaj się. Tak mi się jakoś niechcący wysnęło, ale bez żadnych złych intencji.

Mimo to rozstali się w trochę zwarzonych humorach.

Przedpołudnie minęło na bezskutecznych poszukiwaniach noża Massina, a ponieważ ciągnęły się długo i jakoś głupio było się od nich wymigać, więc i Michał Sobol wyruszył w drogę dopiero po południu, znacznie później, niż początkowo planował.

Opuścił kotlinę, oddalił się od brzegu morza i zaczął się wspinać stromą ścieżką, wydeptaną w rudej, ubitej ziemi pośród skał. Szło się nią ciężko, zwłaszcza w słońcu, któremu jeszcze daleko było do zachodu. Sobol niósł zresztą na plecach sprzęt pletwonurka z butlami, które należały do Ewy. Zamierzał spenetrować grotę dokładniej niż poprzednio.

Po pewnym czasie osiągnął szczyt skalnego płaskowyżu. Przystanął, by odpocząć. Brzeg opadał tutaj prawie pionowo. Gładka powierzchnia wody odbijała promienie słońca, nad horyzontem unosiły się pierzaste obłoki, które przecięła szybko blednąca smuga niewidocznego odrzutowca, jedyny znak ludzkiej obecności w tym zakątku.

Michał złożył na ziemi swój ekwipunek i zbliżył się do skraju urwiska, skąd rozciągał się najszerszy widok.

Nie usłyszał skradających się kroków. Nie zobaczył człowieka, który wyłonił się spoza skał. Długa klinga sztyletu wbiła się w jego plecy. Wyrzucił ręce do przodu i runął w dół, ku morzu.

Podobnie jak poprzednio bezskutecznie szukano noża Massina, tak Ewa daremnie poszukiwała Anette. W rezultacie musiała zmienić na razie swój plan...

W jakiś czas później poszła się wykapać, a następnie – w mokrym jeszcze kostiumie i w gumowych sandałach dla ochrony przed kamieniami – wybrała się na spacer plażą. Słońce

nie paliło już jak rano, powietrze było klarowne, morze spokojne i ciche.

Zastanawiała się właśnie, co powinna teraz zrobić, gdy odgłos czyichś kroków kazał jej spojrzeć w górę. Na ścieżce, prowadzącej ze skalnego płaskowyżu do kotliny, ujrzała na tle zachodzącego słońca ciemną, jak wyciętą z tektury sylwetkę. Postać raz pokazywała się, raz nikła między skałami, a kiedy zbiegła wreszcie w dół, zmaterializowała się w osobie Anette, która wyglądała tak, jakby spotkała ducha.

– Co się stało? – zawołała Ewa. – Co się stało, Anette?

Anette nie odpowiadała. Łapała tylko haustami powietrze niczym po ciężkim, wyczerpującym biegu.

Ewie przypomnieli się dwaj nieznajomi, na których się niedawno kilkakrotnie natykała.

– Może kogoś spotkałaś?

Oczy Anette umknęły w bok. Jej śniada twarz, początkowo czerwona i spocona z wysiłku, zaczynała blednąć.

– Ach, to ty! – zauważyła. – O coś, zdaje się, pytałaś? Tak się zdyszałam i zmęczyłam, że...

– Ale dlaczego?

– Wszystko przez moje przekłete tchórzostwo! Wyobraź sobie, że kiedy szłam na spacer, wylazł na mnie spod skały ohydny wąż, kto wie czy nie jadowita żmija. O mały włos a nastąpiłabym na to paskudztwo! – wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Okropność! – przyznała Ewa, która sama również nie znosiła organicznie gadów i bała się węży. Na miejscu Anette na pewno zareagowałaby identycznie.

– Gonił cię?

– Kto? – zapytała trochę nieprzytomnie Anette.

Ewa zrobiła wielkie oczy.

– Wąż oczywiście...

– Ach, wąż! Nie wiem. Uciekałam ile tylko sił w nogach i ani myślałam się oglądać.

Ujęła Ewę pod ramię i zaproponowała powrót.

Kostek Łuniewski nie spotkał ani Ewy, ani Anette. Szedł brzegiem, na który wypełzały drobne falki. Oblewały kamienie i znów się cofały z cichym pluskiem.

Niebawem odcinek plaży urwał się, a drogę zagrodziły skały. Łuniewski skoczył do wody i mocnymi, energicznymi ruchami popłynął naprzód. Posuwał się równolegle do stromego zbocza, prawie pionowo opadającego w dół. Stąd właśnie, jak poznał po chwili,

oderwał się niedawno odłamek, który go omal nie trafił.

Po pewnym czasie ujrzał niewielki skrawek wybrzeża wolny od skał, tam zaś – jakiegoś człowieka, który się pochylał nad ziemią. Odległa sylwetka wydała się Kostkowi znajoma.

Tamten również go zauważył. Podniósł głowę, lecz jego reakcja zaskoczyła Łuniewskiego. Poderwał się z miejsca i rzucił do ucieczki.

Wąziutka niby-ścieżka, którą pobiegł, urwała się jednak niebawem. Wtedy wspiął się na jakiś głaz i plusnął do wody. W tym momencie Łuniewski zawołał:

– Heniek! – i powtórzył: – Heniek, zatrzymaj się!

Adamiak wychylił z wody rudą głowę, obejrzał się w stronę, skąd dochodziło wołanie i zawrócił.

Spotkali się już na brzegu. Z ich spodenek kąpielowych i włosów ściekała woda.

– Spileś się czy już zupełnie zgłupiałeś? – zapytał Łuniewski. – Dlaczego uciekałeś?

– Nie poznałem cię – odparł niepewnie Adamiak. – Myślałem, że to ktoś obcy. Dopiero kiedy mnie zawołałeś...

Miał zmieniony głos i niespokojne, rozbiegane spojrzenie, więc Kostek zapytał:

– Coś się stało?

Adamiak przytaknął i pociągnął go bez słowa za sobą. Pod dużym głazem leżał w nienaturalnej pozycji jakiś człowiek. Leżał na boku, z twarzą przy ziemi, z jedną nogą podkurzoną pod siebie, drugą odrzuconą na bok. W błyszczącym, czarnym, miejscami poroźdieranym kombinezonie wyglądał jak zepsuty pajac, albo zmęczony arlekin po występie na arenie.

– Michał... – wyszeptał Łuniewski i spojrzał w górę, na strome urwisko. – Spadł?

Adamiak nie odpowiadał. Łuniewski pochylił się i wtedy spostrzegł nóż.

– A więc tak! – powiedział. – Dlatego uciekałeś! Podniósł się.

– Ależ z ciebie drań! – wycedził. – Więc taka miała być ta twoja zemsta?

Nerwy go poniosły, zamachnął się. Heniek zasłonił się ręką i krzyknął.

– To nie ja! Daj spokój! Wszystko ci wyjaśnię!

– Co tu jest do wyjaśnienia? – zapytał Łuniewski, lecz dłoń jego opadła.

– Nie zabiłem go! Kiedy go znalazłem, już nie żył.

– Tak? To skąd się tu wziąłeś? Akurat w tym miejscu? Przypadkiem?

Heniek otarł wodę, która ściekała z jego mokrych włosów, przez co cała twarz nabierała żalosego wyglądu.

– Niezupełnie – odparł z zakłopotaniem. – Jak by ci wytłumaczyć? Trochę

pozazdrościłem Michałowi jego odkrycia i pomyślałem: dlaczego mam być gorszy? A jeśli natrafił tam jeszcze na jakiś inny ślad?

– Skarb Rommla? – zapytał z niedowierzaniem Łuniewski. – O tym myślałeś?

– Powiedzmy. Zakładałem, że skoro Michał będzie niósł sprzęt, to pójdzie górą, więc jeśli ja popłynę morzem, mogę go wyprzedzić. A że z opowiadania o grocie zorientowałem się mniej więcej co do jej topografii...

Nieoczekiwanie przeszedł w swojej relacji na czas teraźniejszy, ale prowadził ją pospiesznie, skrótami, połykał część zdań:

– Płynę więc, kiedy nagle coś spada z góry, ze szczytu skał! Łomot! Nigdy takiego nie słyszałem, nie miałem pojęcia, że ludzkie ciało... Docieram do brzegu, wyskakuję. Poznaje: Michał! Klękam, chcę go obrócić. Widzę nóż! Odskakuję. „A jeśli mnie o to posądzą?” – przychodzi mi do głowy. Wszyscy wiedzą o nieporozumieniach między nami. „Nie! – postanawiam. – Za skarby świata nie dam się w to wplątać! Muszę jak najprędzej zniknąć, ulotnić się, zanim mnie ktokolwiek spostrzeże, zatrzeć ślady”... Naraz spostrzegam kogoś w wodzie. Jeszcze zdążę uciec... Resztę już wiesz. Teraz mi wierzysz?

Posłał Kostkowi ukradkowe spojrzenie.

Ten odpowiedział:

– Wierzę, czy nie, i tak trzeba zawiadomić policję...

## Rozdział 8

– Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa – odezwała się Anette – ale ja mam już zupełnie dosyć. Ci z policji zadają niby obojętne pytania, lecz w gruncie rzeczy stale czyhają na jakieś potknięcie.

– Co było dzisiaj?

– Zaczęli znów od początku. Noc, kiedy zginął nóż Massina – roześmiała się nieszczerze. – Zdaje się, że dzięki Ewie jestem dla nich podejrzaną numer jeden.

– Dziwisz się?

– Ewie – nawet nie. Biedaczka, w każdym upatruje zbrodniarza.

– Taak... – przyznał Piotr – rzeczywiście.

– Chociaż – dokończyła Anette – wolałabym jednak, ażeby wybrała sobie kogoś innego. Z powodu jej zeznań na policji mam mnóstwo kłopotów. Wciąż ich interesuje, gdzie byłam tej nocy, kiedy zginął nóż Massina, i dokąd chodziłam następnego dnia po południu. Każą mi rozliczać minutę po minucie. Kiedy powiedziałam, że w nocy wstałam, ponieważ wydawało mi się, że ktoś kręci się wokół namiotów – nie uwierzyli.

– Nawet się nie dziwię. Ja też nie... Anette, powiedz nareszcie prawdę!

– Nie byłam tej nocy u Massina! Ani tej, ani żadnej innej, jeśli ci o to chodzi. Nigdy z nim nie spałam. Nie ukradłam jego noża, bo i po co? Nie zabiłam Sobola – spojrzała na Piotra wyzywająco. – Nie miałam żadnego powodu, żeby to zrobić.

– Dlaczego się tak od razu zarzekasz?

– Nie zarzekam się. Stwierdzam. Gdyby nie ty, w ogóle nawet bym nie wiedziała, że istnieje jakiś Michał Sobol. Nic mnie z nim nie łączyło...

– Nic? Wmawiaj to policji, ale nie mnie! Chociaż... – zawahał się – policja i tak już pewnie wie swoje. Adamiak nie należy do ludzi, którzy umieją trzymać język za zębami, zwłaszcza w takich okolicznościach. Sam miałem okazję przekonać się o tym na „Koralu”, gdzie mi opisał w sposób barwny pewną wzruszającą scenę miłosną...

– Przestań! – przerwała mu Anette.

– Niby dlaczego? Czyżby cię nerwy zawodziły? Rozejrzyj się lepiej wokoło. Tak się nam przecież przyjemnie tu gawędzi...

Anette powiodła oczami po kawiarnianych stolikach, w większości pustych. W porze

sjesty ludzie woleli spać niż prażyć się w nagranych pomieszczeniach „Esplanady”, do których tylko od czasu do czasu dochodził leniwy powiew znad zatoki. Podobnie puste wydawały się i ulice Bastii.

– To był tylko przelotny flirt – podjęła Anette. – Nic więcej.

– Czyżby? – zapytał ironicznie Piotr. – Wydawało mi się, że byłaś nim jednak dość zainteresowana.

– Kim? Sobolem? Jesteś wyjątkowo bezczelny, a do tego niemoralny!

Naprawdę się zdziwił.

– Niemoralny?

– Jak śmiesz mi robić wymówki? Dobrze wiesz, że gdyby nie ty, nie doszłoby do tego! Ty ponosisz winę.

Zrobił wielkie oczy.

– Ja?

– Tak, bo komu przyszedł do głowy genialny zaiste pomysł z zaproszeniem kolegów z Polski? Teraz trzeba niestety pić piwo, które nawarzyłeś.

– Żartujesz, czy mówisz serio? Chyba dobrze wiesz, dlaczego tak postąpiłem.

– Dla forsy – powiedziała z przekonaniem. – Zawsze ci jej było za mało.

Piotr pomyślał, że na szczęście nie wiedziała o wszystkim. Prawdopodobnie nigdy by nie zrozumiała, dlaczego aż tak bardzo chciał się uniezależnić od pieniędzy jej papy, a dorobić całkowicie własnych, że dla perspektywy dużych zysków ugrzązł w interesach, które mu przyniosły jedynie straty. Ale czy mógł przewidzieć niespodziewany – cóż z tego, że przejściowy, jak go pocieszano – zastój dotychczasowego budowlanego boomu, na którym oparł i z którym związał wszystkie rachuby?

Anette jednak również miała spory udział w ostatnich finansowych kłopotach i niepowodzeniach.

– Znów chcesz wracać do początku? – zapytał. – Przypomnij sobie, czy to ja, czy ty zgrywałaś się w Monte do suchej nitki, a kiedy ci brakło forsy, pożyczłaś na prawo i lewo, na lichwiarskie procenty, na weksle i tak dalej. Na co wtedy liczyłaś?

– Że się zabawię, rozumiesz? Rozerwę, pobędę między ludźmi zamiast tkwić w pustym domu.

Piotr rzucił spojrzenie na barmana, który z pozornie obojętną miną przestawiał butelki na półce.

– Nie krzycz tak, bo zaraz będzie o wszystkim wiedziała cała Bastia – powiedział, ścisząc głos. – A poza tym dom nie był pusty. Miałaś Jeanne.



Roześmiała się, celowo chyba głośniej niż przedtem.

– Jeanne? Ty idioto! Myślałeś, że to wystarczy? Trochę inaczej wyglądało to wszystko przed ślubem, a zupełnie inaczej po. Rzekome konferencje z klientami, nie cierpiące zwłoki wyjazdy, zajęte niedziele, a tak naprawdę...

Położył pojednawczo rękę na jej ramieniu.

– No, nie kłóćmy się! Lepiej pomyślmy teraz, jak z tego wybrnąć.

Anette nie zareagowała. Siedziała nieporuszona, nachmurzona, pograżona we własnych problemach. Myślała o tym, że skoro już tak postąpiła jak postąpiła, musi – żeby nie wiem co – wytrwać do końca.

– Co byś powiedziała na szklaneczkę wina? – zaproponował Willner.

Sam podszedł do barmana i zamówił ćwiartkę czerwonego wytrawnego.

Wino, które dostali, było młode, trochę kwaśne, lecz chłodne. Kiedy je pili, Anette, która siedziała naprzeciw dużego okna o opuszczonej aż do samego dołu szybie, zauważyła idącego bulwarem Kostka Łuniewskiego.

Już chciała go zawołać, gdy przeszedł na drugą stronę ulicy i naraz zniknął jej z oczu.

Łuniewski znalazł się w pomieszczeniu małym, dusznym i ciemnym z powodu zaciągniętej żaluzji, o kamiennej posadzce nakrytej burym, podniszczonym chodnikiem. Z fotografii na ścianach patrzyły martwym wzrokiem nienaturalnie kolorowe twarze. Mimo włączonego wentylatora, który szumiał cicho na wysokiej ładzie, w gorącym powietrzu unosiły się smugi kurzu i zapach chemikaliów. Obok wentylatora stał reklamowy kalendarz ze zdjęciem jakiegoś fragmentu korsykańskiego wybrzeża. Kostkowi skojarzył się on ze scenografią, w której odbyła się ostatnia rozmowa z Sobolem.

Michał opowiadał wówczas o swojej podwodnej przygodzie; o zacięciu się automatu do podawania powietrza i przypadkowym odkryciu grotu. Na koniec zapytał mimochodem, czy to możliwe, żeby nie zauważyć wcześniej uszkodzenia automatu. Łuniewski w lot pojął aluzję. Nikt inny przecież, lecz właśnie on sam jako ostatni miał do czynienia ze sprzętem Michała. Było to poprzedniego popołudnia, na plaży.

„Oszalałeś? – nie mógł inaczej zareagować. – Chyba nie podejrzewasz, że to ja?” – wypalił prosto z mostu. Lepiej, żeby nie istniały niedopowiedzenia. Michał przytaknął. „Chciałem tylko wiedzieć – zapytał sucho – czyś niczego nie spostrzegł?” Kostek zaprzeczył; „Takie uszkodzenia zdarzają się i samoistnie. „Tak – przyznał Sobol. – Ale mimo to wolałbym się jednak osobiście upewnić. Jutro wrócę do grotu po sprzęt, sprawdzę go i wówczas, mam nadzieję, wszystko się wyjaśni...”

Trzasnęły drzwi, a zza grubej, pluszowej kotary wychynał mały, łysawy mężczyzna o

nerwowych ruchach i świdrującym spojrzeniu ciemnych jak węgiel oczu. Wśliznął się za wysoki, staroświecki kontuar, skąd wyjął biały kartonik oraz długopis.

– Wszystko w porządku – zapewnił Łuniewskiego. – Film na pewno wyjdzie, nie ma powodu do obaw. Postaram się wywołać na jutro. Odpowiada panu?

Kostek przytaknął.

– Pan sam się po niego zgłosi? Pana nazwisko? – Fotograf mówił tak samo szybko, jak szybko się ruszał. Długopis zawisł nad kartonikiem.

Łuniewski zawahał się. W Bastii działało na pewno wiele podobnych temu zakładów fotograficznych, jednakże nie starczało czasu na bawienie się w dłuższe poszukiwania. Wstąpił więc po prostu do pierwszego lepszego. W tej sytuacji...

– Jensen – wypalił.

Fotograf uniósł brwi.

– Pan jest Anglikiem? – zagadnął.

– Duńczykiem.

Właściciel zakładu wykaligrafował nazwisko na kartoniku, dopisał jutrzejszą datę i podał go Łuniewskiemu.

– Au revoir – pożegnał się. Następnie wyszedł zza kontuaru i jeszcze przez pewien czas patrzył za odchodzącym klientem.

Łuniewski przeszedł na drugą stronę bulwaru, gdzie usiadł na kamiennej ławce, plecami do zatoki. Z tego właśnie miejsca powinien go zabrać z powrotem motorówką Giovanni Massino, z którym się wcześniej umówił.

Rozglądał się jednak daremnie. Zamiast Włocha zobaczył jedynie łódź, przycumowaną nie opodal.

Wyciągnął nogi, rozpiął guziki koszuli, wystawił twarz do słońca.

Niespodziewanie poczuł na ramieniu dotyk czyjejś ręki. Jednocześnie znajomy głos zapytał:

– Kostek, co tu robisz? Otworzył oczy. Obok stała Anette.

Giovanni Massino pił kawę u don Carmela w ponurym nastroju. Przeklinał Korsykę, „Korala”, lecz nade wszystko Willnera, który zaprosił tych swoich Polaków.

Westchnął ciężko. Czas naglił. Naprawa „Korala” przedłużała się, a i don Carmelo również się niecierpliwił. Massino pocieszał się jedynie bliskim już chyba zakończeniem śledztwa w sprawie morderstwa. Więc i policja nareszcie zezwoli na wyjazd.

„Jeszcze trochę cierpliwości” – powiedział sam sobie, a następnie właścicielowi bistra,

który podszedł z kamienną twarzą.

Mimo to don Carmelo nadal nie krył niezadowolenia. Naglił tak, iż Włoch obiecał mu w końcu na odczepnego, że coś wymyśli.

Z tym też go pozostawił, lecz kiedy już opuścił bistro i szedł w stronę bulwaru, znów zaczęło go prześladować identyczne jak przedtem wrażenie, że jest śledzony, i znowu, jak mu się wydało, spostrzegł w tłumie przechodniów znajomą twarz kierowcy białego sportowego samochodu.

Ewa siedziała na leżaku pod kamiennym murem. W szczelinach po skruszałej, wypłukanej zaprawie pieniły się trawa i chwasty, a wyżej, na kamieniach, siedział Adamiak. Spod ulubionej białej czapeczki wyglądała zaczerwieniona twarz.

– Nie wierzysz mi? – zapytał.

Wychyliła się z cienia plażowego parasola.

– Dlaczego ci na tym tak zależy? Przecież cię nie oskarżam! Nikt cię nie oskarża – dodała. – Nie ma żadnych dowodów, powiedziano na policji. Ale czy i ja muszę w to wierzyć?

Usiłował oponować.

– Ależ, Ewa, zrozum...

Machnęła ręką.

– Wszystko rozumiem, chociaż nie przypuszczałam, że aż tak bardzo go nienawidziłeś. Zawsze wydawało mi się, że więcej pozujesz niż mówisz serio.

– Nie zabiłem go – powiedział dobitnie Adamiak. – Kiedy go znalazłem, już nie żył.

– Powtarzasz się. To ty tak twierdzisz. Ale jak było naprawdę? Ile razy mu się odgrażałeś?

– Miałem do niego złość, fakt. Ale żeby zaraz z tego powodu zabijać?

– Dlaczego nie? Nie słyszałeś nigdy o ludziach, którzy zaczynają od małych pozornie świństw, a kończą na wielkich zbrodniach?

Heniek jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Co masz na myśli?

– A czy nie takim właśnie małym świństwem było niby to przyjacielskie opowiadanie o... – zająknęła się – ...o Michale i Anette? Piotra też pewnie wtajemniczyłeś. Miałeś nie lada frajdę, że się w końcu odegrałeś, co?

Usiłował się usprawiedliwić.

– Byłem wtedy trochę wstawiony, ale czy mogłem przewidywać, że tak zostaną

zrozumiane moje dobre intencje? – w jego głosie zabrzmiał nieszczerzy wyrzut. – Uważałem, że chyba lepiej, jeśli dowiesz się tego ode mnie zamiast od innych, i jeśli dowiesz się wcześniej niż za późno... A poza tym... czy to nie wy z Piotrem trochę za bardzo przejęliście się tą historią? Zazdrość bywa niekiedy złym doradcą...

Spojrzał na Ewę z ukosa.

– Ach, tak! – pojęła. – Więc na to właśnie liczyłeś? Że któreś z nas, albo ja albo Piotr, jakoś zareaguje i w ten sposób cię... wyręczy?

– A jeśli nawet? – powiedział wyzywająco. – Chyba to nie ty go zabiłaś?

– Więc kto? Kto go sprzątnął? – zapytał komisarz korsykańskiej policji, Mario Valacchi, swojego kolegę po fachu, inspektora Jeana Louisa Simoneta, oddelegowanego na Korsykę z Paryża dla wyjaśnienia morderstwa.

Ze swoją grubo ciosaną twarzą, kanciastą sylwetką o szerokich barach i dużych dłoniach Simonet był nieodrodnym synem rybackiej wioski w Bretanii, z której pochodził.

Mario Valacchi urodził się natomiast w zachodniej części Korsyki, lecz nie na samym wybrzeżu, a w głębi gór, gdzie przyroda jest równie dzika jak ludzie. Starszy od Simoneta o jakieś dziesięć lat miał szeroką twarz, małe oczy pod gęstymi brwiami i posiwiałe, sfalowane włosy.

Simonet wyjął fajkę z ust.

– Prześledźmy to wszystko jeszcze raz – zaproponował.

Valacchi wzdrygnął się wewnątrz. Na całej Korsyce, jak długa i szeroka, trwała obecnie uświęcona zwyczajem, tradycjami i koniecznością pora sjeisty. Valacchiemu wydawało się, że pracują jedynie dwie osoby: on sam oraz ten cholerny Simonet, którego przyjazd z Paryża powitał jak wyrażone mu przez Quai d'Orsay votum nieufności. „Czyżby w swoim nieznośnym zadufaniu doszli już i tam do przekonania, że bez nich nikt już sobie nigdy nie da rady?” – pomyślał niechętnie, tłumiąc odzywający w nim co pewien czas kompleks prowincji. Ze skrytym westchnieniem odszukał w kieszeni białą batystową chusteczkę i otarł nią twarz.

– Oczywiście – odparł – zawsze możemy to zrobić. Mamy już całość zeznań.

Otworzył metalową, dość sfatygowaną szafę, wyciągnął teczkę akt, którą położył na biurku przed Simonetem. Sam natomiast przysunął sobie krzesło i usiadł obok. Nie lubił wprawdzie takiego odwracania ról, bardziej nawykł do prowadzenia śledztwa niż do przekazywania go innym, ale cóż miał robić?

Odgłosy zwolnionego ruchu, właściwego porze sjeisty, wlewały się przez otwarte okna

prefektury w Bastii w formie monotonnego, usypiającego szumu. Simonet ani myślał jednak spać. Upał spływał po nim jak woda po kacze. Na samym wierzchu akt leżał syntetyczny wyciąg, który Valacchi sporządził poprzedniego dnia, zaczynający się od danych formalnych, a kończący na szczegółach wynotowanych z przesłuchań.

– Dużo tu tego właściwie nie ma – zauważył Simonet. – Niezbyt rozmowni.

– Może u was, w Paryżu, ludziom chętniej się rozwiązują języki – odparował komisarz. Przez moment zwyciężyła w nim potrzeba wyładowania swego złego humoru, z którą walczył od pewnego czasu.

Simonet uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Uważa pan, kolego, że mamy w stolicy doskonalsze metody?

Valacchi wolał udać, że nie dostrzega ironii. Szybko zmienił temat, a raczej wrócił do poprzedniego.

– W zasadzie podejrzani są wszyscy. Nikt z nich nie posiada wystarczającego i przekonującego alibi, natomiast niektórzy mieli motywy, skłaniające do tego, by zabić. Przygotowane przeze mnie zestawienie uwzględni to. Pozwoli pan, kolego?

Przekartkował kilka stron, ażeby zatrzymać się przy kolejnej.

– Zaczniemy od... – jeszcze się zastanawiał, gdy Simonet wpadł mu w słowo.

– Powiedzmy od madame Anette Willner...

– Najbardziej podejrzana – mruknął Valacchi.

– Właśnie dlatego. Widzę nawet odpowiednią adnotację na marginesie.

– Czasem człowiek staje się zwolennikiem biurokracji. Lubię mieć jasność obrazu... A więc Anette Willner, córka zamożnego właściciela firmy projektowej w Paryżu, żona...

– Dane o sytuacji rodzinnej madame Willner raczej sobie darujmy. Nie wnoszą, moim zdaniem, nic istotnego.

– Tak pan uważa? No cóż, skoro tak, jedźmy dalej... W noc przed zabójstwem widziano ją obok namiotu Massina, skąd zginął sztylet, późniejsze narzędzie zbrodni. Alibi na czas morderstwa brak. Podobno poszła na spacer w góry, skąd uciekła, rzekomo przestraszona widokiem węża. Następnie spotkała przypadkowo Ewę Sobol i podała jej właśnie tę wersję. Dziwnym trafem wszystko wydarzyło się akurat w porze, w której dokonano morderstwa oraz w tej również okolicy. Jednakże Anette Willner twierdzi, że niczego podejrzanego nie zauważyła.

– A motyw? – zapytał Simonet.

– Miała chyba romans z Sobolem. Może w pewnym momencie coś się zepsuło między nimi?

– Więc zazdrość? Zemsta? – Simonet zauważył, że zgasła mu fajka. Metodycznie zaczął ją na nowo nabijać.

„Celebryje niczym komisarz Maigret – pomyślał z rozbawieniem Valacchi – szkoda tylko, że nie działa równie skutecznie”. A głośno powiedział:

– Coś w tym rodzaju. Zapisałem tu nazwisko pewnego człowieka... Zaraz, jakże on się nazywał? – odsunął kartkę na pewną odległość, ponieważ inaczej nie był w stanie przeczytać nawet samego siebie. Z biegiem lat coraz bardziej potrzebował okularów do czytania, lecz nie mógł się na nie jakoś zdecydować w obawie przed opinią, że się starzeje. Znalazł nareszcie. Nazwisko rzeczywiście piekielnie trudne do wymówienia. – Luniewsky – przesyłabizował. – Ten Luniewsky właśnie już wcześniej, na dzień przed zabójstwem, spostrzegł Anette Willner w pobliżu miejsca, w którym on sam spotkał się ze swym kolegą Sobolem. Jeśli to prawda, moglibyśmy przyjąć, że już raz szukała okazji, lecz ktoś jej przeszkodził. Następnym razem się udało.

– Co mówi ona sama?

– Naturalnie zaprzecza. Lubi chodzić w góry na spacer, więc poszła i wtedy.

– W taki upał, gdy człowiek nie może wytrzymać nad morzem, a co dopiero daleko od wody?

– Bywają różne upodobania. Nie mamy powodów, by jej zarzucać kłamstwo. Możemy jedynie wierzyć lub nie.

– Domysły... Hipotezy... – westchnął Simonet. – Trochę mało. Każdy sąd by je wyśmiał.

Jemu samemu natomiast wcale nie było do śmiechu. Przysłano go z Paryża na Korsykę po to, by, jak się to żargonowo nazywało, „popchnął śledztwo”. Tymczasem nic tego jakoś nie zapowiadało. Szefowie Simoneta nie mieli niestety powodów do radości i wyobrażał sobie ich zgryźliwe komentarze. „Pewnie im się wydaje, że się wyleguję całymi dniami na plaży, a wieczorem podrywam dziewczyny i pijam wino w jakimś bistrze” – pomyślał. Wyjął fajkę z ust i zaproponował:

– A może byśmy wzięli teraz pod lupę samego Willnera?

– Pierre Willner – odczytał Valacchi – naturalizowany obywatel francuski... Zamieszkały na stałe w Nicei... Brak alibi na czas morderstwa. Zeznaje, że spał w tym czasie w namiocie, ale kto to sprawdzi? O wypadku powiadomił go rzekomo dopiero Luniewsky. Domniemany ewentualny motyw: zazdrość o żonę, która miała romans z kolegą, na dodatek w sposób dość prowokacyjny, na oczach wszystkich. Sytuację komplikuje fakt, że żona denata, Ewa Sobol, była niegdyś narzeczoną Willnera.

– Prawdziwy już nie trójkąt, a czworokąt – zażartował Simonet. – Że też ludzie wikłają się w układy, których później nie umieją przeciąć inaczej, jak tylko gwałtownie.

– Może po to właśnie Willner ich tu oboje sprowadzał?

– Nie przeceniajmy go. Skąd mógł się zresztą domyślać, że jego żona zacznie romansować z Sobolem, skoro podobno poznała go dopiero tutaj?

– O ile to prawda – uzupełnił szybko Valacchi.

– Ba, gdybyśmy ją znali... Gdybyśmy chociaż wiedzieli, w jakim celu Willner przywiózł tutaj tę całą grupę, na pewno znacznie posunęlibyśmy się naprzód.

– Skarby Rommla – odpowiedział komisarz. – Wszyscy o nich mówili, powoływali się na nie. Zgodnie, jak jeden mąż. Chwilami odnosiłem wrażenie, że się umówili.

– Kto wie? Może i tak było? Może rzeczywiście się umówili? To zresztą, zdaje się, dość głośna historia.

– Owszem – przytaknął Valacchi – sam znam niejednego, który poszedł na ryzyko. Ludzie przepuszczali tu całe fortuny. Można pisać tomy o tych, którzy uwierzyli, że chociaż innym się nie powiodło – do nich akurat los się uśmiechnie. Niestety, Korsyka to nie Eldorado. Poszukiwania kosztują, a złota nie widać. Jeśli o mnie chodzi, to chociaż wiem, że sprawa jest autentyczna i ma pokrycie w dokumentach, to jeszcze trochę, a przestanę wierzyć, że historia z zatopieniem skarbu Rommla zdarzyła się naprawdę.

Oczy Simoneta ożywiły się.

– Widzę, że ta gorączka jakoś pana ominęła, kolego. Ja natomiast wcale nie jestem taki pewien, czy gdybym był na pana miejscu, nie uległbym jej któregoś dnia. Moich przodków zawsze coś ciągnęło w morze, mimo wszelkich niebezpieczeństw, a może właśnie dla nich.

– Dlatego też pewnie pan wstąpił do policji, co? – zażartował Valacchi. – Tu ma pan stale do czynienia z czymś takim.

– Być może... Na czym to jednak stanęliśmy?

– Na zeznaniach Piotra Willnera. Twierdzi on, że swoich przyjaciół pletwonurków z Polski sprowadził po to, ażeby mu pomogli i ułatwili poszukiwania zatopionych skrzyń ze złotem. Do tego również trudno się przyczepić.

– Na razie... – rzekł Simonet i posłał komisarzowi znaczący uśmiech. – Mój policyjny nos natomiast mówi mi, że chyba jednak wrócimy jeszcze raz do tej sprawy.

Valacchi odwzajemnił się pytaniem:

– Czy aby tylko nos?

W sposób bardziej lub mniej wymuszony roześmieli się obaj. Komisarz sięgnął po syfon z wodą sodową i nalał do dwóch szklanek. Wiedział, że zaraz zacznie się pocić jeszcze

bardziej niż poprzednio, ale pragnienie było silniejsze. „Sjesta... – pomyślał tęsknie – ach, wyciągnąć się teraz na wysokim łóżku, nakrytym szorstkim, białym, mocno wykrochmalonym prześcieradłem”. Od kamiennej posadzki dochodzi miły chłodek, obok monotonnie, usypiająco szumi wentylator, natomiast z drugiego pokoju słychać żonę dobrotliwie strofującą chłopców, by byli cicho i dali ojcu trochę pospać, oraz inne odgłosy spokojnego rodzinnego życia, które komisarz Valacchi cenił tym bardziej, im więcej mu przybywało lat.

– Na kogo obecnie kolej, panie kolego?

Głos Simoneta brutalnie wyrwał Valacchiego z błogostanu. Wizja się gdzieś rozplynęła. Korsykański komisarz wychylił duszkiem całą zawartość szklanki. Woda sodowa wypełniła mu żołądek i poczuł się jeszcze bardziej ociążały niż przedtem.

– Może Ewa Sobol, żona denata?

– Dawna narzeczona Piotra Willnera?

– Podobno.

Simonet wzruszył z niedowierzaniem ramionami.

– Już prędzej zrozumiałbym, gdyby zabiła Willnera. Przypływ dawnego uczucia, zemsta za niewierność i tym podobne banały. Ale własnego męża?

– Może również za niewierność?

– Dlaczego właśnie jego, a nie Anette? Zemsta zdradzonej kobiety rzadko kiedy kieruje się ku mężowi czy kochankowi, natomiast częściej w stronę „tej trzeciej”.

– Jeszcze pan nie zna kobiet! – zawołał Valacchi. – Te małe bestie, u nas przynajmniej, bywają zdolne do wszystkiego! Czy pan słyszał na przykład o takiej historii? – i zaprezentował Simonetowi nieco makabryczną opowieść o pewnej tutejszej damie tak pełnej temperamentu, że z rozpędu zastrzeliła nie tylko swego nie dochowującego jej wierności kochanka, ale i część jego rodziny, jako że ów pan był człowiekiem dość licznie nią obdarzonym.

Simonet dostosował się do sposobu, w jaki została przedstawiona ta historia, i żartobliwie westchnął:

– Mamy prawdziwe szczęście, komisarzu, że nie nas to spotkało!

– Raczej umiejętność zawierania odpowiednich znajomości – dodał Valacchi. – A co do naszej sprawy, przyznam, zastanawia mnie jednak fakt, dlaczego żonaty mężczyzna zaprasza ni stąd ni zowąd pod własny dach dawną narzeczoną?

– Osobliwe, fakt! – mruknął Simonet. – Tylko nie dostrzegam jakoś związku pomiędzy tym a morderstwem.



– A może po prostu nie poznaliśmy wszystkich układów i znamy tylko część prawdy?

– Na pewno – ale też i z pewnością nie będziemy się w nie zagłębiać. I tak się już dostatecznie dużo dzieje. A jeszcze wchodzić w cudze łóżka...

– Czasem, niestety, trzeba... Ewie Sobol także brakuje alibi. W domniemanej porze morderstwa nikt jej nie widział. Równie dobrze mogła pójść ze swoim mężem i po jakiejś dramatycznej rozmowie, chociażby w związku z Anette Willner, zabić go. Następnie szybko zbiega w dół, a kiedy spotyka Anette, udaje, że nic się nie stało.

– Jeśli tak, to właśnie ona musiała również zabrać wcześniej nóż Massina. Tymczasem obok namiotu Włocha była Anette, a nie Ewa Sobol.

– Zwracam panu uwagę, inspektorze, że madame Sobol była tam również. Od niej samej wiemy przecież, że wstała w środku nocy i wyszła na dwór. Po co? Może właśnie po nóż? Odczekała chwilę, a kiedy Anette już zniknęła...

– Taak... – mruknął Simonet i przejechał palcami po swoich słomianych włosach. – Wszystko oczywiście możliwe... Kto figuruje jako następny w pańskim zestawieniu, panie komisarzu?

Valacchi pochylił się nad pokreślonym arkuszem.

– Niejaki Adamiak – odpowiedział. – Między nim a Sobolem dochodziło często do dosyć ostrych scysji i spięć na tle osobistych animozji. No i Adamiaka przecież Luniewsky zauważył przy zwłokach.

– Według mnie nie obciąża to jego konta, wprost przeciwnie – stwierdził Simonet. – Adamiak miał wprawdzie chyba dość motywów do dokonania zbrodni, jednakże który morderca pozostałby później przy zwłokach ofiary zamiast zmykać jak najszybciej gdzie pieprz rośnie? Poza tym Sobol, co ustaliliśmy bezapelacyjnie, został zabity na górze. Natomiast Adamiak znajdował się na dole, na brzegu.

– Jest jeszcze jedno wytłumaczenie. Adamiak morduje Sobola na górze, następnie zbiega na dół, aby upewnić się, czy osiągnął cel. Rozumie pan, inspektorze, o czym myślę? Chciał się zabezpieczyć przed ewentualnym rozpoznaniem, które groziłoby mu w wypadku, gdyby Sobol, nawet jeszcze krótko, żył.

– A ten... Luniewsky?

– Luniewsky to również jeden z kolegów Willnera. Nie wiemy o żadnych zatargach między nim a denatem; raczej się przyjaźnili niż kłócili. Istnieją jednak dwie niejasności... – Valacchi zawahał się, ale po chwili podjął na nowo. – Brak alibi oraz fakt, że dziwnym zbiegiem okoliczności Adamiak oraz Luniewsky spotykają się akurat w pobliżu zwłok Sobola. A przecież to miejsce było dość odległe od campingu. Cóż ich tam więc poniosło? I

jeszcze coś...

Simonet spojrział pytająco.

– Luniewsky – on również się tego nie wypiera – sprawdzał akwalung Sobola. Więc jak wytłumaczyć późniejszy wypadek z zacięciem się automatu do podawania powietrza? Czy to rzeczywiście zrządzenie losu, czy przewody były sprawdzone niedbale, czy automat uszkodzono umyślnie? A jeśli tak, kto to zrobił? Może to właśnie Luniewsky wykorzystał okazję i zaabsorbował Sobola przebieraniem się w strój płetwonurka? Sam pan zaś wie, inspektorze, co orzekli nasi specjaliści. Czasem naprawdę trudno się od nich spodziewać jakiejś rozsądnej, jednoznacznej odpowiedzi. Zamiast tego słyszy pan wymijające: mogło być tak, ale równie dobrze i inaczej. Do tego długi teoretyczny wywód na wiele stron, po przeczytaniu których jest pan równie mądry jak poprzednio. „Automat mógł zostać uszkodzony umyślnie, mógł się zaciąć i sam”. Oto czego dowiadujemy się w wyniku żmudnych badań nad sprzętem Sobola. Stąd też, z konieczności nieomal, przyjąć musimy wyjaśnienia Luniewsky’ego, który twierdzi, że przed zanurzeniem Sobola akwalung, przewody oraz automat dozujący powietrza były sprawne.

– Wobec tego – wypadek?

– Lecz jeśli rzeczywiście – a zdarzają się one podobno – niechże mi pan, na Boga, wytłumaczy, dlaczego Sobol zostaje zamordowany na krótko przed powrotem do groty? Jaki związek może istnieć między tymi dwoma faktami?

– Może to tylko przypadkowy zbieg okoliczności?

– Sam pan przed chwilą uważał, że już za wiele przypadków, a teraz sam się na nie powołuje.

– Więc jeśli nie, to co?

– Sobol wracał do groty po sprzęt, pozostawiony poprzedniego dnia. Nie robił z tego żadnej tajemnicy. Jednakże może mówił jeszcze o czymś więcej?

– Skarby Rommla? – zapytał Simonet.

– O ile wierzyć naszym płetwonurkom, którzy dość dokładnie spenetrowali grootę, ani ich tam nie ma, ani też nie istnieją żadne ślady, wskazujące, że kiedykolwiek się w niej znajdowały. Nawiasem mówiąc – dodał – grota to zwyczajna szczelina w skałach dolomitowych, tyle że ładniejsza i trudniej dostępna dla tych zwłaszcza, którzy nie znają drogi i nie wiedzą, gdzie jej szukać.

– Zgoda, lecz jeśli Sobol zamierzał sobie zakpić ze swych towarzyszy? Robił jakieś aluzje pół żartem, pół serio, sugerował, że znalazł nie tylko grootę, ale i coś więcej?

– Jeśli tak – zauważył komisarz – wówczas nadmierna skłonność do fantazjowania

kosztowała go życie.

Wstał, przemaszerował kilka razy po pokoju, aż wreszcie zatrzymał się przy otwartym oknie, przez które z każdą minutą coraz śmielej wlewały się odgłosy, sygnalizujące koniec sjeisty. Coraz częściej jeździły po ulicach samochody i coraz żywsze dochodziły oznaki budzącego się na nowo życia.

– O czym pan tak rozmyśla, komisarzu? – odezwał się Simonet. Zauważył, że fajka mu znowu zgasła, postukał cybuchem o biurko, wytrzeptał resztki popiołu, ale zatrzymał ją w dłoni.

Valacchi z trudem powstrzymał się od wymówki o straconej sjeście. Gdyby z nią teraz wyskoczył, zyskałby prawdopodobnie w stolicy opinię rozleniwionego durnia. Zamiast tego rzekł więc:

– Zastanawiam się nad ewentualną rolą Luniewsky'ego. Nie jest ona dla mnie całkowicie jasna.

Simonet zgodził się z nim.

– Pamięta pan, inspektorze – dodał komisarz – zeznanie madame Willner? Luniewsky dogonił Sobola i podał mu kamerę. Sobol, jak wiemy, był nie tylko zapalonym pletwonurkiem, ale i równie zapalonym filmowcem amatorem. Czy można uwierzyć, że właśnie tym razem zapomniał o aparacie, choć zwykle go brał ze sobą? Mało tego. Luniewsky przyniósł co prawda kamerę, o której jego kolega podobno zapomniał, jednakże Sobol i tak nie nakręcił ani metra, a to z powodu braku filmu w aparacie. Więc?

– Tak – przyznał Simonet – zupełnie niezrozumiałe... Ale, ale – przypomniał – nasz rejestr nadal niepełny. Zapomnieliśmy o Giovannim Massino.

– Wcale nie.

Valacchi odszedł od okna i wrócił na swoje krzesło. Wysunął przed siebie stopy, obute mimo upału w ciężkie policyjne trzewiki do kostki. Znów mu się zachciało pić, jednakże tym razem postanowił powstrzymać się aż do powrotu do domu. Nie powinien wlewać w siebie hektolitrów różnych płynów, bo w końcu wysiądą mu nerki i serce.

– Dalibóg – westchnął – czy Massino ma jednak coś wspólnego z tym morderstwem?

– A nóż? – rzucił Simonet.

– Nóż należał rzeczywiście do niego, lecz skoro skradziono mu go poprzedniej nocy?... Załóżmy teraz, że to nieprawda, że noża użył sam Massino. Ale dlaczego? Chyba nie po to, ażeby umyślnie skierować podejrzenia w swoją stronę?

Na twarzy Valacchiego odmalowała się zaduma.

– Eliminuje go pan więc już z góry, inspektorze?

Simonet nie odpowiedział bezpośrednio na pytanie.

– Alibi ma, mimo wszystko, lepsze niż inni. Co prawda trudno wymagać, ażeby jeden pilnował tam drugiego, albo żeby w późniejszym zamieszaniu, spowodowanym morderstwem, skrupulatnie rejestrowano, gdzie kto był, co robił i o której wrócił, lecz w odniesieniu do Massina wiemy przynajmniej, że tego dnia widziano go oraz jego motorówkę w Bastii.

– No, no – zachnął się komisarz – nie polegałbym na tym aż tak. Massino na pewno był po południu w Bastii, jednakże równie dobrze mógł tam popłynąć już po zabójstwie. To żaden argument. Ważniejsza natomiast wydaje mi się kwestia motywów. Naprawdę jakoś mi trudno zauważyć je w wypadku Massina.

Simonet potarł dłonią swój kwadratowy podbródek.

– Taak – powiedział – rzeczywiście, Sobol i Massino poznali się podobno dopiero tutaj, więc mamy przypadkową jedynie, luźną znajomość. Co z niej wynika? Jaki motyw? Naprawdę nie widzę!

Komisarz zaśmiał się.

– Świadkowie mogą mówić co chcą, gdy im zależy na ukryciu czegoś. A jeśli Massino i Sobol kontaktowali się już wcześniej?

– I właśnie tutaj by się poróżnili? – rzekł z powątpiewaniem komisarz.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi, które zaraz potem uchyliły się. Do gabinetu komisarza weszło dwóch mężczyzn o wybitnie południowym typie urody.

– Co nowego? – zapytał Simonet na ich widok.

– Jak dotąd nic – odezwał się pierwszy z przybyszów. Drugi zamknął za sobą z hałasem drzwi i uzupełnił:

– „Koral” będzie gotów najdalej pojutrze. Spodziewamy się, że pewnie pojutrze, prawdopodobnie wieczorem, zechcą odpłynąć na kontynent.

– Musimy się przygotować – mruknął Valacchi. – Co pan proponuje, inspektorze? – zwrócił się do Simoneta, ale zamiast dopuścić go do głosu, sam ciągnął dalej: – Możemy ich tu jakiś czas zatrzymać, chociażby pod pretekstem, że śledztwo trwa. Jeśli o mnie chodzi, byłbym raczej przeciwny. Uważam, że trzeba działać. Dość już się naczekaliśmy.

– Pojutrze... – powtórzył Simonet. – Więc mielibyśmy jeszcze tylko jeden dzień. Nie za mało?

Valacchi przymknął powieki.

– Nie – odparł po chwili. Otworzył oczy i powiódł nimi po twarzach obecnych.

– Od początku byłem zwolennikiem radykalnych środków. Okazuje się, że miałem po

stokroć rację. Do czego bowiem doprowadziło nas czekanie? Z przykrością stwierdzam, iż stoimy w miejscu. Człowiek zostaje zabity niemal na naszych oczach, a my kręcimy się jak pies za własnym ogonem. Nie umiemy odpowiedzieć na żadne pytanie: kto to zrobił, dlaczego, nie umiemy nawet wyjaśnić prawdziwej roli zagranicznych znajomych Willnera – pokiwał z ubolewaniem głową. – I to ma być policja? Kłapa na całej linii, moi panowie, oto jedyne właściwe określenie. A jeśli obecnie znowu przepuścimy okazję i znowu będziemy czekać, jak by sobie życzyli nasi szanowni koledzy z Paryża, zamiast działać...

– Robiliśmy wszystko co w naszej mocy – usprawiedliwił się drugi z nowo przybyłych. – Sami wiecie, jak bardzo staraliśmy się. Gdyby nie to morderstwo, na pewno byśmy...

– Powinniśmy być przygotowani na taką ewentualność – zagrzmał komisarz – a nie tracić głowy, ponieważ zaszło coś nieprzewidzianego! No tak – dodał tylko że to nie wy, a ja tu będę teraz świecił oczami. To nie Paryż, niestety, ale Korsyka.

– Naprawdę jest pan zdania, że morderstwo mogło mieć jakiś związek z tą całą sprawą?

– Bo ja wiem? – odparł komisarz. – Jest ono jednak faktem i dlatego za żadną cenę nie możemy dopuścić do dalszych komplikacji...

Zrobił chwilę przerwy, po czym zaczął wykladać swój plan.

A jednak w tym planie również istniała luka. Inspektor Simonet tak uległ w pierwszym momencie sugestywnej wymowie swojego korsykańskiego kolegi, że rzuciła mu się w oczy dopiero wieczorem, w hotelu, gdy kładł się już do łóżka.

Albowiem zamierzenia komisarza bynajmniej nie zapewniały rozwiązania zagadki, kto popełnił morderstwo.

## Rozdział 9

Fotograf stał za kontuarem, zajęty przycinaniem zdjęć. Robił to szybko i sprawnie, korzystając ze specjalnego urządzenia – gilotynki, która wyrównywała brzegi fotografii.

W pierwszym momencie nie poznał zapewne Łuniewskiego, gdyż spojrzał pytająco w jego kierunku.

Łuniewski podał identyczne jak poprzednio nazwisko.

– A, pan Jensen! – przypomniał sobie. W ciemnych oczach ukazał się błysk zrozumienia. – Pan po film? Już wywołany.

Oderwał się od swojego zajęcia i zniknął na pewien czas za kotarą. Wrócił z papierową torebką, którą podał Łuniewskiemu. Wewnątrz znajdował się film.

– Pamiątka z urlopu? – zagadnął. Albo mu się nudziło, albo był człowiekiem rozmownym. – Korsyka to wspaniała wyspa! Drugiej takiej nigdzie pan nie spotka! Sam przyjechałem tu jakieś dziesięć lat temu i – jak pan widzi – zostałem. A pan... można wiedzieć, na długo?

– Na urlop tylko – odparł Łuniewski. – Kilkanaście dni... – fotograf wydał mu się wprawdzie przesadnie wylewny, jednakże nie widział powodu, aby nie odpowiedzieć.

– Prawdziwa szkoda! – zawołał tamten z rzeczywiście szczerym ubolewaniem. Najwyraźniej uważał Korsykę za najlepsze miejsce pod słońcem i dla każdego, kto stąd wyjeżdżał, żywił współczucie. – No, ale – wskazał papierową torebkę, którą Łuniewski nadal trzymał w ręku – przynajmniej będzie co pokazywać w domu.

– Jeśli tylko pan dobrze wywołał – powiedział pół żartem, pół serio Łuniewski.

Fotograf nie zrozumiał dowcipu i nadspodziewanie mocno obruszył się. Jak pchnięty niewidzialną ostrogą wyskoczył zza kontuaru, podbiegł drobnymi kroczkami do swego klienta.

– Niech mi pan to da, a zaraz sam się pan przekona! – zawołał i wyrwał Łuniewskiemu torebkę z filmem.

– Ależ... – zaprotestował Kostek, oszołomiony swoistym popisem bezceremonialności. Ale zaperzony fotograf nie zareagował. Nie tylko nie zwrócił Łuniewskiemu filmu, lecz niespodziewanie silnie pociągnął swego klienta za rękaw i równie mocno wepchnął go, zaskoczonego, za kotarę.

Kotara stanowiła jedynie zasłonę dla masywnych dwuskrzydłowych drzwi, za którymi znajdowało się właściwe atelier. Było tu kilka aparatów fotograficznych różnego typu, na statywach lub bez, z boku duże reflektory, w środku okrągły, obrotowy taboret. Na ścianach, podobnie jak w sklepie, wisiały duże, przeważnie kolorowe fotografie, portrety lub widoki.

Fotograf zapalił światło i z sąsiedniego pokoju przyniósł nieduży aparat projekcyjny. Mruczając do siebie pod nosem wyjął film, sprawnie nawinął pierwszą połowę taśmy na szpulę, skleił z drugą, założył, uruchomił na krótko aparat, znów go wyłączył i rzucił swemu klientowi spojrzenie bazyliuszka.

– Zaraz się pan przekona, panie...

– Jensen – podpowiedział Łuniewski.

– Otóż, panie Jensen, gdyby pan tutaj dłużej pomieszkał, wiedziałby pan, że jak Korsyka długa i szeroka nie ma nikogo lepszego w tej branży niż Francois Varel, który oto stoi przed panem we własnej osobie! Tak jak wywołuje zdjęcia i filmy Francois Varel, tak nie wywoła panu nikt inny!

Perorując bez przerwy podbiegł do ściany, pociągnął za zwisający tam sznurek i pozwolił, by opadł duży biały ekran. Podobnie zasłonił okno, na które opuścił nieprzezroczystą zasłonę.

Łuniewski zauważył, że czyni to z dużą wprawą i zaczął na serio podejrzewać, iż bardziej od zamiaru przekonania klienta o własnych fachowych umiejętnościach, kieruje monsieur Varelem zwykła ludzka ciekawość albo też po prostu chęć zabicia dłużącego się czasu czy nudy. Być może podobne pokazy urządzał częściej, wobec innych klientów.

Zanim te wszystkie myśli przeleciały mu przez głowę, fotograf zgasił światło i włączył aparat. Rozległ się cichy, monotony szum. Szpula obróciła się, a na ekranie zamigotały pierwsze barwne ujęcia. Oczom Łuniewskiego ukazał się wspaniały, kolorowy, podwodny świat.

Fotograf szybko podsunął krzesło, sam przysunął się bliżej, wpatrzył w ekran na ścianie i zaszeptał z mieszaniną podniecenia oraz tajonej satysfakcji:

– No, teraz sam pan widzi! Niech pan zobaczy te kolory! Prawda, jakie naturalne?

Podmorski świat odsłaniał coraz to nowe zakamarki. Wśród falujących traw i wodorostów pływały stada cętkowanych i pasiastych ryb o dziwnych pyskach i niesamowitych kształtach. Po dnie pełzały kraby, rozkładały ramiona rozgwiazdy, a spod kamienia wysuwała swe macki szaroróżowa ośmiornica o smutnych, mądrych oczach starego człowieka.

– Czyż to nie prawdziwy majstersztyk? – zaszeptał znów Francois Varel. – Czy zdaje

sobie pan sprawę, co za sztuka tak wywołać film, żeby uzyskać naturalne barwy? W laboratoriach siedzą nieraz nad tym całe sztaby fachowców... A ja tutaj, sam jeden...

Ani mu wpadło do głowy, ażeby wyrazić najprostsze chociażby uznanie dla tego, który ów film nakręcił. Myślał i mówił wyłącznie o sobie. Cały pokaz urządził też chyba właśnie po to.

Aparat szumiał dalej, jednakże sceneria filmu raptownie uległa zmianie. Miejsce podwodnych obszarów z bujną roślinnością i tętniącym życiem zajęło ponure rumowisko skał i głazów, które pojawiło się na krótko i niespodziewanie ustąpiło innemu, bajkowemu nieledwie widokowi. Oko kamery utkwilo w szmaragdowolazurowej przestrzeni, obramowanej skałami. Niespodziewanie oddaliło się, ażeby objąć całe, jak się okazało owalne jezioro o niezwyklej, urzekającej barwie wody. Ze sklepienia zwisały całe draperie i bladoróżowe sople stalaktytów. Na skałach stały większe i mniejsze maczugi stalagmitów.

Łuniewski poznał grotę. Pochylił się w przód i z napięciem śledził wszystko, co działo się na ekranie. Fotograf na szczęście chwilowo milczał.

Na ekranie zamigotały kryształki światła; żywe i ruchliwe jak ryby, które, spłoszone, poderwały się, przemknęły obok i zniknęły w szmaragdowej głębi.

W chwilę później widok znowu się zmienił. Kamera przesuwiała się powoli, zanurzała się głębiej i głębiej...

– Stop! – zawołał nagle Łuniewski.

Fotograf wyłączył projektor.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie, nie – zaprzeczył szybko Łuniewski. – Czy mógłby pan jednak na moment cofnąć, żebym jeszcze raz mógł zobaczyć to ujęcie? Wydaje mi się bardzo interesujące.

– Naturalnie! Nie tylko mogę cofnąć, ale i zatrzymać. Wszędzie, gdzie sobie pan tylko życzy. W dowolnym miejscu. To jest supernowoczesny aparat, panie Jensen – dodał z przechwałką.

Nacisnął jeden z klawiszy i szpula ruszyła w przeciwnym niż poprzednio kierunku.

– Zaraz puścimy znowu – oznajmił. – Niech pan tylko powie, gdzie zatrzymać.

Wcisnął kolejny przycisk. Na ekranie pojawiło się to samo co poprzednio stado srebrnych ryb i identyczne skaliste brzegi.

– Teraz! – zawołał Łuniewski. – Teraz!

Klatka filmu znieruchomiła.

Fotograf oderwał palce od wyłącznika i spojrział również.

– Co to? – zapytał, a jego głos odbił nieklamane zdumienie.



– Nareszcie – rzekł don Carmelo, który przysiadł się do Massina z butelką chianti. W głosie właściciela bistra zabrzmiała ulga. Nalał wina do obu szklanek, podniósł swoją w górę.

– Zdrowie! – powiedział. – I za szczęśliwe zakończenie!

Postawił pustą szklankę na stole.

– To... Kiedy? – zapytał z niecierpliwością.

Massino sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu papierosów, których nie znalazł. Don Carmelo czym prędzej przyniósł z bufetu nową, nie napoczętą jeszcze paczkę gitanesów. Massino rozerwał celofanowe opakowanie, wziął jednego i nie spiesząc się zapalił.

– Jutro – odparł. – Jutro wieczorem.

– O której?

Massino zerknął na zegarek.

– Powiedzmy, o dziewiątej. Albo, jeszcze lepiej, o wpół do dziesiątej.

– Nie za wcześnie?

Zza zasuniętych żaluzji przedostawały się skąpe tylko promienie dziennego światła, w bistrze panował półmrok. Jak zwykle w czas sjesty, która przypadała tu między godziną dwunastą a wpół do czwartej, bar, podobnie jak inne, miał przerwę.

– Nie – odrzekł zdecydowanie Massino. – Ciemno już, a ruch na ulicach na tyle jeszcze duży, że nie zwrócimy szczególnej uwagi. Będziemy po prostu jednymi z wielu; zginiemy w tłumie. Zresztą – nadpił mały łyżeczek swojego chianti – wszystko razem nie powinno nam zabrać zbyt wiele czasu – postawił szklankę na stole. – A potem „Koral” popłynie w powrotny rejs.

Natomiast ja wsiadam na prom do Livorno. Wieczorem będę już w Rzymie.

– Nie zatrzymają pana jeszcze, Giovanni, w związku z tym morderstwem?

Massino uśmiechnął się pobłaźliwie:

– Niby po co? Już przedtem wyciągnęli ode mnie wszystko, co miałem do powiedzenia. Na cóż byłbym im teraz potrzebny?

– Z glinami różnie bywa – zauważył don Carmelo. – Czasem uczepią się człowieka jak pijawki.

– W ten sposób moglibyśmy tu jednak siedzieć bez końca. Na szczęście zrozumieli nareszcie, że człowiek nie może być wiecznie na urlopie i że kiedyś musi stąd wyjechać. Tak więc pozwolono nam opuścić w końcu tę cholerną wyspę. A że i tak wiedzą, gdzie nas szukać w razie potrzeby, nie ponoszą żadnego ryzyka.

Dopił wino i zdusił papierosa.

– No, na mnie czas. Wkrótce koniec sjesty, a wołałbym, żeby mnie raczej nie widziało

w tych okolicach zbyt wiele osób. Nie bardzo mi się chce wychodzić na upał, ale cóż robić! – podniósł się z krzesła. – A więc do jutra wieczorem – pożegnał się.

– Do jutra – odparł don Carmelo.

Ewa Sobol minęła zwietrzały mur, obok którego wciąż jeszcze, choć już nazajutrz mieli wyjechać, stał namiot Massina. Po pewnym czasie drogę przegrodziło wyschnięte koryto potoku z kamieniami tak białymi, jakby je ktoś unurzał w rozpuszczonej kredzie.

Zatrzymała się i obejrzała za siebie, w kierunku kotliny. Przed jednym z namiotów krzątała się Anette. Ubrana w kostium kąpielowy pakowała porzucane wokół rzeczy. Z oddali wyglądała jak mała figurka. Natomiast w człowieku, który się do niej właśnie zbliżył, Ewa rozpoznała Adamiaka.

Odwróciła się, przeszła po kamieniach na drugą stronę potoku i ścieżką w ziemi brązowej jak wypieczony piernik i twardej jak skorupa glinianego garnka zaczęła się pięć pod górę.

Droga była trudna, kręta, omijała raz mniejsze, raz większe, zawsze niezmiennie ostre, kłujące przy dotknięciu skały. Zaraz jednak stromy stok się skończył, przechodząc w dość rozległy płaskowyż, porośnięty trawą i krzakami.

Ewa stanęła nad pionowym urwiskiem, skąd rozciągał się widok na morze, lśniące w słońcu jak srebrne blaszki miki. Świat się uciszył, ustało nawet brzęczenie owadów. Jedynie kilka zbitych grud ziemi i parę kamieni spadło spod stóp w dół z cichym grzechotem.

Przepaść poniżej wzywała, zachęcała, kusila. Z tego właśnie miejsca spadł Michał.

„Michał...” – pomyślała Ewa.

Nagle poczuła na swych ramionach czyjeś ręce.

– Odnoszę dziwne wrażenie – rzekł Adamiak – że ty, Anette, wiesz chyba więcej, niż powiedziałaś.

– O! – zdziwiła się. – Skąd te przeczucia? Bawisz się w jasnowidza czy w detektywa? Roześmiał się z przymusem.

– Ani mi w głowie. Zastanawiam się po prostu nad niektórymi sprawami.

– Na przykład? – zapytała Anette.

Stała obok namiotu, w samym centrum stosu rozmaitych rzeczy, które z trudem wpychała do toreb i worków.

„To oczywiste – pomyślał Heniek – pakuje się przed wyjazdem. Jutro opuszczamy

Korsykę. Wieczorem «Koral» przyplynie po nas z Bastii. Wrócimy tam raz jeszcze, aby wysadzić na ląd Massina, który pojedzie promem do Włoch, i Ewę, która musi czekać na samolot do Polski”.

– Ja też nie spałem tamtej nocy... – powiedział nie kończąc myśli.

Anette przestała się pakować, podniosła głowę. Nie nosiła tym razem kapelusza, a jej twarz i całe ciało zrobiły się po morskim słońcu tak czarne, że przypominała Mulatkę.

– O czym właściwie mówisz?

– Noc, podczas której zginął nóż temu Włochowi – pokiwał głową z udawanym ubolewaniem. – Cóż za krótka pamięć! – zawołał. – Czy mogę ją odświeżyć?

– Ty?

– Ano tak, bo też i ja cię wtedy widziałem.

Odezwała się po chwili zmienionym głosem, w którym brzmiało wyzwanie:

– Dlaczego więc nie powiedziałaś o tym policji? Nadarzało się chyba dość okazji.

Heniek przesunął rozcapierzonymi palcami po włosach.

– Mało mnie widać znasz. Jeślibym i ja jeszcze dołożył swoje do zeznań Ewy, byłabyś zupełnie bez szans.

– Nie rozumiem celu tej rozmowy – powiedziała szybko.

Adamiak udał zdziwienie.

– Nie? Więc powiem wprost: widziałem, jak brałaś nóż Massina.

– To wiele wyjaśnia – rzekł komisarz Valacchi z triumfem w głosie. – Ale jak pan to, na Boga, zdobył? I czy pan w ogóle zdaje sobie sprawę z wartości swojego odkrycia?

– Jak zdobyłem? – powtórzył Łuniewski. – Po prostu zabrałem z groty, w której Sobol zostawił sprzęt. Wyjąłem film z kamery, wywołałem... Resztę pan wie.

– Ale...

– Czuję, że zapyta pan zaraz, panie komisarzu, jak wpadłem na trop, skąd się domyśliłem i tak dalej?

Valacchi potwierdził.

– Właśnie. Sprawa jest dla mnie wciąż niejasna, by nie powiedzieć – zagadkowa.

Łuniewski uśmiechnął się.

– Pewnie wyda się to panu śmieszne, ba, nieprawdopodobne, jednakże to prawda; ani przez moment się nie domyślałem!

– Proszę mi tylko nie wmawiać przypadku, bo takie dowody jak ten nie wpadają na ogół nikomu w ręce dzięki zbiegowi okoliczności.

Ciemne oczy komisarza lustrowały Łuniewskiego z taką natarczywością, że gdyby posiadały właściwości magnesu, wyciągającego z człowieka prawdę tak jak metalowe szpilki z pudełka, nie musiałyby czekać długo na odpowiedź.

Łuniewski nie mógł tego nie zauważyć.

– A jednak – powiedział. – Można to tak właśnie nazwać. Film zdobyłem wprawdzie przez przypadek, lecz groty szukałem w określonym zamiarze. Niech pan pomyśli: w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin najpierw zacina się automat przy sprzęcie do nurkowania i o mało nie dochodzi do wypadku, a potem ginie tragicznie właściciel sprzętu. Czy nie zastanowiłoby to pana?

– Trudno zaprzeczyć.

– Tak też właśnie sobie wówczas pomyślałem. Jeszcze stojąc przy zwłokach Sobola postanowiłem, że muszę jak najszybciej odnaleźć groty ze sprzętem, ażeby przekonać się, czy może rzeczywiście automat uszkodzono celowo. Widzi pan, zaginięcie noża to mogła być robota obcego; słyszałem o jakichś podejrzanych ludziach w okolicy. Ale automat? Tutaj obcy już nie wchodził w grę. Krąg się znacznie zawęził. Niestety.

– Tak – zgodził się Valacchi – rozumiem. Więc sprawdził pan automat? – Zanim Łuniewski przytaknął, komisarz zapytał: – No dobrze, ale film?

– Powód identyczny jak poprzednio. Zanim byście trafili do groty, ktoś mógłby was uprzedzić. Również morderca. Pomyślałem zaś sobie: a jeśli na filmie znajduje się coś ważnego, co pomoże wyjaśnić powód zbrodni lub zidentyfikować osobę sprawcy?

Komisarz obdarzył Łuniewskiego spojrzeniem pełnym nieufności.

– Podziwiam intuicję – rzekł z gryzącą ironią. – Gdyby nie fakt, że rzeczywiście film znajduje się obecnie w naszych rękach, a panu to niewątpliwie zawdzięczamy, mógłbym mieć wiele wątpliwości. Oto pierwsza z brzegu: dlaczego mówi pan o tym wszystkim dopiero teraz? Dlaczego zataił pan swoją obecność w grocie przy poprzednich przesłuchaniach?

Łuniewski odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Zna pan takiego, który chciałby być zamieszany w sprawę o morderstwo, którego nie popełnił? Jeślibym pisnął choć słówko, byłbym podejrzany numer jeden. Oto przyczyna, dla której wolałem milczeć, przynajmniej aż do dziś.

Komisarz z rezygnacją machnął ręką.

– Spryciarz z pana – oznajmił. – Na wszystko ma pan jakiś argument tak przekonujący, że trudno się przychylić – westchnął. – I cóż mam z panem właściwie zrobić, panie Luniewsky? Jeśli pan nawet łże jak z nut i jeśli motywy, które obecnie panem kierują, są zupełnie inne, to i tak oddał nam pan sporą przysługę, dzięki której gotowy jestem

przymknąć oczy na całą resztę.

Podszedł do okna swego pokoju w prefekturze. Gdy wyrzął, zobaczył ulicę, która wraz z nadchodzącym zmierzchem na nowo wypełniła się ludźmi i samochodami. Wieczorem będzie tu pewnie zwykły tłok.

– Ale ja nie – oznajmił niespodziewanie Łuniewski.

Komisarz odwrócił się. Jego czarny wąsik drgnął.

Czerwona pełna warga podniosła się, odsłaniając zęby tak białe, że wyglądały jak z nylonu i takie też zapewne były.

– Jak to? – zapytał mało uprzejmie.

– Nie przyszedłem tu aż tak bezinteresownie...

– O, to coś zupełnie nowego. Proszę, proszę, niechże pan mówi dalej!

– Michał Sobol był moim przyjacielem. Zależy mi na wykryciu sprawcy jego śmierci.

Valacchi siadł ciężko za biurkiem, przesunął ręką po gładko wygolonym, rumianym policzku. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki skórę miał wciąż jędrną, świeżą i nie wyglądał na swój wiek.

– Pan myśli, że mnie nie? Cieszę się, że jesteśmy aż tak zgodni, panie Luniewsky. Niestety, jednak – rozłożył ręce – trudno powiedzieć coś pewnego. Istnieją oczywiście takie lub inne poszlaki, hipotezy...

– Rozumiem – powiedział Łuniewski. – Ja też mam jedną, swoją.

Komisarz opuścił ręce.

– Niech pan mówi.

– Film – oznajmił krótko Łuniewski. – Co by pan powiedział na hipotezę, że mojego przyjaciela zamordowano dlatego, że zobaczył względnie sfilmował w grocie to, czego widzieć nie powinien? Przyjmijmy, że istnieje ktoś, komu aż tak bardzo zależało na zachowaniu całej sprawy w tajemnicy, że nie zawahał się nawet przed zbrodnią, byleby tylko Michał nie wrócił ponownie w tamto miejsce. Niech pan nie zapomina, że film z kamery Michała znalazł się w moich rękach jedynie przypadkiem; po prostu byłem szybszy. Jeśli jednak jest tak jak przypuszczam, mordercy nadal musi piekielnie na filmie zależeć. Użyj każdego sposobu, aby go zdobyć. Na tym właśnie polega plan, który obmyśliłem idąc tutaj.

Gęste, czarne brwi Valacchiego powoli uniosły się w górę, aby za chwilę, równie powoli, wrócić na dawne miejsce.

– Wcale interesujące – rzekł – choć byłbym wdzięczny, gdyby i mnie pan z nim zapoznał. A ponieważ i my również mamy trochę własnych hipotez, wolałbym raczej, żeby pan nie bawił się w Don Kichota i nie działał w pojedynkę...

Rozciągnął usta w czymś, co miało być rodzajem zachęcającego uśmiechu.

Łuniewski, który tak to właśnie odczytał, wyłożył pokrótce swoje zamiary.

Valacchi wysłuchał go w milczeniu.

– Nie – rzekł wreszcie – nie mogę się zgodzić. To zbyt niebezpieczne. Przeciwnik, o ile rzeczywiście ma pan rację, jest groźny, a ja nie będę mógł zapewnić dostatecznej ochrony.

Łuniewski spróbował ponownie:

– A jeśli straci pan, kto wie czy nie bezpowrotnie, szansę złapania mordercy?

Komisarz machnął niecierpliwie ręką.

– Nie, nie! Proszę nie pouczać policji! Dobrze wiem, co mam robić! Nie mam zamiaru odpowiadać potem jeszcze za pana!

– Sam będę odpowiadał za siebie. Pan nie będzie miał z tym nic wspólnego – oznajmił Łuniewski. – O niczym pan nie będzie wiedział. Mój pomysł – moje ryzyko.

– Ale... – zaproponował już słabiej komisarz. Przed oczami stanął mu paryski inspektor Simonet. Jeśli rzeczywiście morderca złapałby się na przynętę i równocześnie udałoby się zebrać wystarczające dla sądu dowody, Valacchi porządnie przytarłby nosa nie tylko jasnowłosemu Bretończykowi, ale i całej zarozumiałej Quai d'Orsay. Ryzyko zaś naprawdę brał na siebie tylko ów cudzoziemiec. W razie niepowodzenia komisarz zawsze będzie mógł powiedzieć, że o niczym nie wiedział.

A mimo wszystko trudno było mu się jakoś tak od razu zdecydować.

– Sam pan rozumie, że nie mogę panu służyć żadną bronią, żadnym rewolwerem ani czymś w tym rodzaju – uśmiechnął się słabo. – Nawet policyjną pałką. Popełniłbym nie lada wykroczenie i nikt by mi tego nie darował, a mimo wszystko chciałbym jednak doczekać emerytury na swoim stanowisku.

Łuniewski odwzajemnił mu się identycznym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że nie będzie potrzebna. Są jeszcze inne sposoby. Nie chwaląc się, uważam się za dość sprawnego fizycznie. Inaczej nie mógłbym nurkować, zwłaszcza na dużych głębokościach, do czego potrzebuję nie tylko mocnych płuc, ale i równie silnych rąk i nóg.

– Co pan trenuje? – zapytał komisarz i z pewną melancholią przypomniał sobie swoje pierwsze, organizowane dla policjantów, kursy jiu-jitsu. Teraz był na to wszystko już trochę za stary. Brakowało poprzedniej elastyczności, a siły też nie te. Z pewną zazdrością więc spojrzał na Łuniewskiego i pomyślał o sobie: cóż, młodość przemija, niestety.

– Wszystko po trochu, dla ogólnej kondycji – odparł Łuniewski. – Kiedyś chodziłem nawet na karate, łyknąłem przy okazji co nieco sztuki samoobrony. Mam nadzieję, że jakoś

wyjdę cało i że mi się uda.

– Oby! – westchnął Valacchi, choć nie był pewny czy dobrze robi. Łuniewski jednak zrozumiał, że tamten ustąpił, więc szybko dodał:

– Proszę tylko o jedno. Żebyście byli w pobliżu, gdy „Koral” przyplynie do Bastii.

– To mogę zagwarantować – obiecał komisarz. – Nic więcej.

– Nie wierzę! – zawołała Anette. – To podstęp i ani myślę nabrać się na to!

Adamiak zdjął swoje ciemne przeciwsłoneczne okulary i przetarł zapocone szkła. Czy w tym klimacie słońce nigdy nie zachodzi? Z pewną nienawiścią spojrzął na wiecznie błękitne, rozpalone niebo. „Prawdziwa patelnia” – pomyślał i powiedział:

– Żaden podstęp. W moim namiocie było duszno. Nie mogłem spać, wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem. Wtedy cię zobaczyłem. Stałaś obok namiotu tego makaroniarza Massina i rozglądałaś się. Już się spodziewałem, że złożysz mu nocną wizytę, lecz ty jedynie wzięłaś nóż z jego stolika.

Anette cofnęła się.

– Tylko mi nic nie wmawiaj! – ostrzegła z nutką hysterii w głosie.

– Nie denerwuj się! To i tak nic nie pomoże.

Przygryzła wargi.

– Ile chcesz? – zapytała.

Adamiak popatrzył na nią tak, jak czasem w ogrodach zoologicznych ludzie gapią się na egzotyczne zwierzęta.

– Tak nisko mnie cenisz? Myślisz, że wszystko i wszystkich można kupić?

W jej oczach pokazało się zdziwienie.

– Więc o co ci chodzi?

– Chcę wiedzieć, czy to ty sama sprzątnęłaś Michała, czy też ktoś, komu dałaś sztylet Włocha, wyręczył cię?

– Zwariowałaś? Chyba nie przypuszczasz, że odbędę tu zaraz przed tobą małą spowiedź po to, żebyś od razu pobiegł na policję? – postukała się wymownym gestem w czoło.

– Pobiec na policję mogłem już znacznie wcześniej, a przecież tego nie zrobiłem. Nic ci to nie mówi?

– Phi! Może go sam zabiłeś, a może naprawdę tak bardzo nie lubiłeś swojego kolegi, że jego śmierć nie zrobiła na tobie wrażenia?

– Słuchaj, Anette, dość żartów! Albo-albo. Albo powiesz wszystko, co wiesz, albo

rzeczywiście pójdę na policję, a tam już postaram się, żeby moje zeznania wypadły naprawdę przekonywająco.

– Wciąż nie rozumiem... – zachnęła się.

– Moja sprawa. A jeżeli chcę tylko wiedzieć?.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. „Dlaczego aż tak nalega?” – pomyślała. Bo przecież ani na chwilę nie wierzyła, że jedynie ze zwykłej ciekawości...

– Nie zabiłam twojego kolegi – powiedziała coś, co nic ją w końcu nie kosztowało. – Gdybyś został dłużej, zobaczyłbyś, że nie tylko wzięłam nóż ze stolika przed namiotem Massina, ale i odłożyłam go tam z powrotem.

– Więc po co go w ogóle brałaś?

– Zaniepokoiły mnie jakieś szmery, a że słyszałam o nieznajomych, którzy się kręcą w pobliżu... Złękałam się... Czasem strach ma wielkie oczy. Człowiek wyobraża sobie Bóg wie co...

Uśmiechnął się kpiąco.

– Wymyśliłaś rzeczywiście wcale ładną bajeczkę. Byłabyś znakomita jako autorka powiastek dla dzieci.

– Tak było – powtórzyła uparcie.

– Ewa! Stój, Ewa! Dziewczyno, coś ty właściwie chciała zrobić?

Ewa odwróciła się. Za nią stał Piotr z dziwnym wyrazem w oczach. Odciągnął ją od skraju urwiska, odwiódł na bok, zaproponował, żeby usiedli.

Chmury na horyzoncie rozwiały się, pozostawiły jedynie ślad; wątlą mgiełkę, z którą kontrastowało farbkowo niebieskie morze.

– Ja? – obruszyła się. Jej gładkie zwykle czoło zmarszczyło się, twarz przybrała wyraz prawdziwego czy też udawanego jedynie zdziwienia. – Nic nie chciałam zrobić.

– A to...? – wyjąkał Piotr. – Stałaś przecież tuż nad przepaścią. Jeden nieostrożny krok – zrobił wymowny ruch – i...

Zmarszczki na czole znikły jak kreski ołówka zmazane gumką.

– Nie przesadzaj! Gdyby nie ty, powstałabym jeszcze parę minut, a potem wróciłabym tą samą drogą, którą przyszedłam, żeby się pożegnać z morzem i z miejscem, gdzie Michał...

Wpadła w sztuczny patos, jednakże Willner chyba go nie zauważył. Ona sama zaś zmieniła temat.

– A ty? – zagadnęła. – Skąd ty się właściwie tu wzięłeś?

– Szedłem po prostu za tobą – wyznał szczerze.



– O! – zdumiała się. – Czyżbyś mnie szpiegował?

Zaprzeczył gorąco.

– Chyba znamy się już dość długo, żebyś wiedziała, że to nonsens! A poza tym – po cóż właściwie miałbym cię szpiegować?

– Nie wiem, ale w sytuacji, gdy wszyscy podejrzewają wszystkich, wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było. Nie dziwiłabym się również, jakbyś mi nagle oznajmił, że to pewnie ja zabiłam Michała a obecnie z powodu wyrzutów sumienia poszłam rzucić się w przepaść. Aż dziw, że mi w tym nie pomogłeś! – dodała z ironią, której Piotr albo nie zrozumiał, albo zrozumieć nie chciał.

– Szukałem okazji do pogadania z tobą sam na sam – oznajmił po chwili. – Trochę mi co prawda niezręcznie, ale...

Podmuch wiatru przebiegł po trawie, która zafalowała, popchnął naprzód białe smużki obłoków na niebie. Od morza powiało słoną, rzeźwą wilgocią. Potem znowu zapanowała cisza.

– Ewo, czy ty naprawdę uważasz, że to Anette zabiła twojego męża? – wypalił bez osłonek Willner.

Odwróciła się w jego stronę.

– Czyżbyś miał jeszcze jakieś wątpliwości? – zapytała.

Piotr zmarszczył czoło.

– Po prostu nie mieści mi się w głowie, że mogła coś takiego zrobić. Chociaż, z drugiej strony... Od pewnego czasu zachowuje się tak dziwnie...

– Może ma po prostu wyrzuty sumienia?

– Nie, to coś innego, tylko nie potrafię sprecyzować, co. Postaraj się o chociaż trochę obiektywizmu i odpowiedz mi, ale szczerze, czy rzeczywiście uważasz Anette za zdolną do morderstwa?

– Powiedziałam to już raz policji i zdania nie zmienię.

– Ale dlaczego?

– Lubi zdobywać wszystkich i wszystko. A jeśli się nie uda i zagra urażona ambicja?

– Więc tak to sobie tłumaczysz... – rzekł Willner. – No cóż, może i masz jakieś swoje racje, ale ja nadal, mimo wszystko...

– Dziwię się więc, że przyszedłeś z tym akurat do mnie – zauważyła. – Czego ode mnie oczekujesz? Współczucia czy pocieszenia? A może jednego i drugiego?

– Dlaczego tak nie lubisz Anette? – zagadnął nagle. Odpowiedziała mu pytaniem na pytanie.

– A nie mam powodów?

## *Rozdział 10*

Kiedy na niebie rozlała się amarantowa łuna zachodu, a słońce skryło za górami, zza których nadciągał zmierzch, „Koral” odbił od nadbrzeża w Bastii, zatoczył szeroki łuk wokół zatoki i dopiero wtedy zawrócił.

Szedł szybko, reagował na każdy ruch sterem. Piotr był zadowolony. Próba wypadła dobrze i raczej nie należało się spodziewać żadnych niespodzianek w powrotnym rejsie do Nicei.

Massino, który również znajdował się na jachcie, obserwował zbliżający się znów brzeg z niespokojnym oczekiwaniem. Nie wątpił wprawdzie w don Carmela, jednakże zawsze istniał jakiś procent ryzyka.

Rzucili cumę, Włoch wyskoczył jak zwykle pierwszy, okręcił linę wokół kamiennego pachotka na nabrzeżu i rozejrzał się. „Koral” stał tuż przy brzegu, tak niskim tutaj, że woda o centymetry ledwie graniczyła z chodnikiem bulwaru i gdyby nie jej cichy plusk, mogłoby się wydawać, że jacht zakotwiczył wprost na ulicy.

Złudzenie potęgowali ludzie przechodzący obok tak blisko, że prawie ocierali się o burty ciałami, rozgrzanymi, spoconymi, wysmarowanymi olejkami do opalania. Nad witrynami sklepów powiewały, jak rankiem, kolorowe markizy, jednakże wystawy jarzyły się już światłami, prezentowały istną rewię złota, koralu i srebrnych filigranów. Brązowe od słońca, rozgadane turystki z plastikowymi kubkami lodów w rękach wpatrywały się w te cacka niczym sroki w kość. Ich towarzysze znosili swój los ze swoistym sceptycyzmem, który nie zabraniał im oglądać się za co bardziej zgrabnymi nogami. Spod niedalekiej palmy, gdzie ustawiono kilka ławek, dochodziły dźwięki nie romantycznej, jak by się tu można spodziewać, gitary, tylko głośnego tranzystora, nadającego wszędzie na świecie taki sam hałaśliwy big-beat. Jednakże i muzyce nie udawało się w pełni zagłuszyć wieczornego gwaru, w którym głośne rozmowy i pokrzykiwania przeplatały się z chichotami dziewcząt, z nawoływaniem dzieci, z muzyką szaf grających, dochodzącą zza otwartych drzwi barów.

„Znakomicie – pomyślał Massino – trudno o lepsze okoliczności. W tłumie, zajęтым własnymi sprawami, gdzie jeden nie zwraca uwagi na drugiego, zgubi się każdy”.

Spojrzał na zegarek, którego wskazówki powoli zbliżały się do godziny dziewiątej. Najwyższy czas, ażeby ruszyć w kierunku bistra don Carmela.

Dał ręką znak Piotrowi, że odchodzi, i wmieszał się w tłum. Willner pozostał na pokładzie, zapatrzony w ludzki potok, bo i cóż miał obecnie innego do roboty?

Zamiast jak zwykle o tej porze królować za bufetem w swoim białym, obcisłym fartuchu, don Carmelo, który już wcześniej wywiesił na drzwiach baru spory karton z informacją: „Zamknięte”, zszedł na dół i znalazł się w niewielkiej, chłodnej, pachnącej pleśnią piwnicy.

Zapalił światło, które ujawniło stosy rozmaitych pudełek, kartonów i puszek.

Don Carmelo przesunął je z wysiłkiem i dostał się do jednego z narożników. Tutaj właśnie, w ścianie na samym dole, znajdowały się grube, metalowe drzwiczki o dość skomplikowanym widać zamku, skoro don Carmelo kilkakrotnie musiał manipulować niewielkim kluczykiem. Wreszcie drzwiczki stanęły otworem, odsłaniając głęboką niszę. Don Carmelo sapnął z ulgą, otarł pot z czoła i wsadził rękę do środka.

W tym momencie tupot kroków i ciężkie łomotanie do drzwi oznajmiły, iż dzieje się coś niedobrego.

– Otwieraj, don Carmelo! – usłyszał wołanie.

Uliczki stawały się coraz węższe, cichsze i coraz ciemniejsze. Równocześnie im dalej od nadmorskiego bulwaru, tym bardziej malał ruch. W żółtawym, mdłym świetle latarni maszerowały cienie nielicznych przechodniów. Dwóch mocno podpitych marynarzy, splecionych ze sobą niby zakochana para i z trudem zachowujących równowagę, wyśpiewywało na całe gardło jakąś pospolitą tutaj piosenkę.

Massino minął ich i poszedł przed siebie równym i pewnym krokiem, chociaż bez specjalnego pośpiechu.

Wkrótce stanął przed kamiennymi schodkami. Były tak wydeptane i śliskie od tysięcy ludzkich stóp, jakie codziennie tędy przechodziły, że lśniły jak lustro, w którym odbijał się żółty krąg latarni.

Włoch uniósł głowę i spojrzał wyżej. Tuż za schodkami biegła uliczka równie wąska i ciemna jak sąsiednie, a na jej krańcu znajdowały się bistro oraz dom don Carmela.

U szczytu schodów, które pokonał kilkoma susami, Massino przystanął powtórnie, nie po to jednak, żeby odpocząć, ale ponieważ usłyszał niepokojące go odgłosy. Na wszelki wypadek ukrył się za narożnikiem niemiłosiernie odrapanej kamienicy, w bramie, z której cuchnęło czosnkiem, oliwą i kotami.

Kiedy się znów wychylił, ujrzał przed bistro don Carmela dwa samochody z zapalonymi reflektorami. Do pierwszego z nich prowadzono właśnie don Carmela, który opierał się i krzyczał, a swoim głośnym lamentem i złorzeczeniami czynił zbiegowisko na całą ulicę.

„Pocziwy don Carmelo” – pomyślał Włoch, ponieważ przeczuł, że całe to przedstawienie miało w istocie rzeczy za cel ostrzeżenie go przed niebezpieczeństwem. Don Carmelo dobrze pamiętał, na którą godzinę się umówili i teraz robił wszystko, ażeby uchronić Massina przed losem podobnym do własnego.

Nareszcie drzwiczki trzasnęły, zawarczały silniki, oba samochody szybko odjechały.

Równie pośpiesznie zawrócił i Massino. Spocony z wysiłku dotarł na bulwar, gdzie z ulgą ujrzał „Korala”.

– Odpływamy – zakomenderował zwięźle.

– Co się stało? – zapytał Piotr.

Massino machnął dłonią.

– Nie teraz – powiedział.

Anette pierwsza spostrzegła „Korala”. Płynął prędko, jasne światła pozycyjne drgały w takt pracy silnika jak liście na wietrze.

Dobił do brzegu tuż przed godziną dwunastą. Kiedy Anette zbiegła nad samą wodę, by stamtąd obserwować manewr cumowania, usłyszała za sobą kroki oraz głos Łuniewskiego:

– No i co, Anette? Odpływamy?

Silnik jachtu zaszumił jeszcze raz i umilkł. Z ciemności wyłoniła się Ewa, za nią Adamiak, objuczony dwiema torbami. Niemal równocześnie nadeszli Willner z Włochem Massino. Zobaczywszy ich Łuniewski poszedł po swoje rzeczy. Wkrótce i on także wrócił, a kiedy postawił na ziemi torbę, sięgnął nieoczekiwanie do kieszeni.

– Ach, Ewo! – zawołał głośno. W dłoni trzymał jakiś przedmiot. – Zupełnie byłbym zapomniał! Mam coś dla ciebie!

Ewa rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, którego i tak nie dostrzegł.

– Co to?

– Nic specjalnego. Zwyczajna taśma filmowa, ale chciałbym, żebyś ją wzięła.

Massino, który dotąd zapewne nie rozumiał z prowadzonej po polsku rozmowy ani słowa, zapytał Willnera, o co chodzi. Łuniewski uprzedził Piotra i odpowiedział po francusku:

– Drobiazg. Oddaję Ewie film, który Michał nakręcił podczas mojego ostatniego nurkowania, między innymi w grocie. Wiedział, że następnego dnia wybieram się do Bastii,

więc dał mi wieczorem negatyw z prośbą, żebym zostawił u jakiegoś fotografa do wywołania. Sami jednak wiecie, co się potem zdarzyło... Nie tylko więc nie spełniłem prośby, ale i zupełnie zapomniałem o filmie. Natrafiłem na niego przypadkowo dopiero dzisiaj, podczas pakowania...

– Daj mi go! – zażądała Ewa. – Mój samolot odlatuje jutro wcześniej rano. Zabiorę film ze sobą i wywołam zaraz po powrocie do Polski.

– Ach, nie! – zawołał Łuniewski. – Nie o to chodzi! Uważam, że powinnaś zanieść film policji w Bastii. Piotr ruszy zaraz z nami w dalszą drogą, Massino odpływa promem do Livorno, a ty i tak musisz czekać całą noc, więc ci wszystko jedno.

Willner, który dotąd trzymał się na uboczu, zbliżył się do Łuniewskiego i zaproponował pojednawczo:

– Słuchaj, Kostek, może byś jednak w ogóle z tego zrezygnował? Po co się narażać na dalsze kłopoty? Nie dość dotychczasowych?

Łuniewski zawahał się.

– Lecz jeśli film zawiera naprawdę coś ważnego?

Adamiak niespodziewanie poparł Willnera.

– Okrętajmy się wreszcie i odpływajmy jak najszybciej zamiast się bawić w ceregiele z filmem!

– Tak! Tak! – zawołała Anette. – Odjeżdżajmy!

– A jeśli film zawiera coś ważnego? – powtórzył Łuniewski. – Coś, co może mieć jakiś związek z zamordowaniem Michała? Stanowczo jestem zdania, że policja powinna się z nim zapoznać.

– Jesteś niepoprawny! – odezwał się ze złością Willner. – Zawsze lubiłeś celować z wielkich dział do wróbli, ale teraz stanowczo przesadziłeś!

Łuniewski puścił uwagę mimo uszu.

– Nie zapominajcie – rzekł – gdzie i kiedy Michał nakręcił ten film. A może jest na nim coś ciekawego?

– Skarby Rommla – podpowiedział zjadliwie Adamiak – bo naprawdę nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Może...

– Ojej! – jęknęła Anette. – Najpierw zapowiadacie, że trzeba się spieszyć, a teraz dyskutujecie niczym biznesmeni na party. Po co dłużej zwlekać?

– Dobrze – zdecydował Willner. – Skoro Kostek tak się upiera, sam wezmę film i dostarczę policji w Bastii. Zgoda? Jesteś zadowolony? Tak będzie chyba nie tylko

najrzęczniejszy, ale i najlepiej dla nas wszystkich. Wiecie, jaki bywa stosunek policji do obcokrajowców. Korsykańska nie stanowi żadnego wyjątku, raczej wprost przeciwnie – wyciągną dłoń. – Daj mi film i naprawdę już czas najwyższy okrętować się.

Łuniewski sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Wiesz – oznajmił po chwili – może jednak rzeczywiście powinienem to sam załatwić, a nie obarczać kogoś z was? Tak... – postanowił. – Wsiądę razem z Ewą i Massinem w Bastii. Myślę, że potrwa to chyba niedługo, więc poczekacie na mnie na „Koralu”. Bonie wierzę, żebyście mnie zostawili samego.

– Mogę pójść z tobą – zaproponował Piotr.

– Ach, nie, nie rób sobie fatygi! Sam to załatwię, no a kapitan zawsze przecież musi być na swoim jachcie.

Schował film do kieszeni i podniósł swój bagaż.

– Jak chcesz – rzekł Piotr i uniósł również swój. Przy brzegu czekał „Koral”, gotowy do dalszego rejsu.

Noc nie była ciemna. Chociaż na niebie lśnił jedynie rożek księżyca, na horyzoncie mrgał różaniec świateł statków, kutrów i barek, które ruszyły na wieczorne połowy.

„Koral” trzymał kurs na Bastię. Jego dziób rozcinał wodę ostro i z szumem, za rufą zostawała sfalowana smuga obrębiona pianą.

Na rufie stał Kostek Łuniewski. Wraz z rozbryzgami wody wdychał gorzki, specyficzny zapach morza: soli, wilgoci, ryb. I czekał. Czekał na kogoś, kto – jeśli jego rachuby były słuszne – powinien tu przyjść. I to wkrótce, gdyż czasu pozostawało niewiele.

Miejsce, które wybrał, tonęło w cieniu, dzięki czemu mógł obserwować wszystko, co się dzieje na jachcie, sam nie widziany.

Z lewej przesunął się powoli czarny, skalisty brzeg, a za nim, jak błędne bagienne ogniki, girlandy świateł Cerbione, Vescovato i Casamozza. Nad morzem rozległ się ryk odrzutowca, sygnalizujący bliskość lotniska nie opodal Casamozza.

Łuniewski zadarł głowę w górę. Na moment zapomniał o ostrożności i ten błąd zemścił się na nim. Ryk silników samolotu zagłuszył wszystko inne, więc zanim cokolwiek usłyszał, zobaczył jedynie ogromny, wydłużony cień na pokładzie. Zdażył uskoczyć półobrotem w bok, cios trafił w próżnię. Napastnik stracił na moment równowagę, a wtedy Kostek znalazł się za jego plecami i uderzył kantem dłoni. Metalowy przedmiot, który tamten trzymał w ręce, upadł na deski. Obaj schylili się po niego równocześnie, jednakże Łuniewski widząc, że nie zdąży, kopniakiem odsunął narzędzie spoza zasięgu dłoni przeciwnika, który

się nagle wyprostował i uderzył. Kostek poczuł ból w okolicy oka. Mimo to zdążył chwycić napastnika za przegub, przyciągnął go do siebie i równocześnie podciął przybyszowi nogi. Ten zachwiał się i upadł na pokład.

Zamiast satysfakcji, że się udało, Łuniewski odczuł jedynie zdziwienie, iż trwało to tak krótko i tak szybko się skończyło. Zupełnie jak kiedyś, dawno temu, kiedy wieczorem na namiot, w którym nocował na wakacjach z kolegą nad górską rzeką, napadła grupa pijanych chuliganów. Dali im wówczas wcale niezły wycisk.

– Wstawaj! – rozkazał. – Ręce na plecy i bez żadnych krzyków! Szybciej! – dodał widząc, że tamten jeszcze się waha, jakby gorączkowo obmyślał jakieś inne wyjście. Podniósł z pokładu sporych rozmiarów żelazny klucz. – Chyba nie chcesz oberwać?

Nie spuszczając go z oczu wyjął z kieszeni zwój drutu i skrępował mu ręce. Następnie obrócił twarzą do morza, postawił przy burcie i tym samym drutem przywiązał do metalowej kluzы. Szukał właśnie po kieszeniach szmaty, którą zamierzał się posłużyć jako kneblem, kiedy usłyszał nagle głos Anette.

– Piotr! – i zaraz potem jej szybkie kroki.

– Kostek, co ty? – zaczęła i przerwała ze strachem. – Co się tu dzieje?

– Nie miałem innego wyjścia. Twój mąż nie wytrzymał nerwowo. A tobie również radzę zachowywać się spokojnie i raczej nie wzywać pomocy. Piotrowi mogłoby się przydarzyć wtedy coś złego. Jest w kiepskim stanie, więc jeśliby wypadł przypadkowo za burtę...

– Wyobrażam sobie, że i na to cię stać!

– Przykro mi, ale nie mogłem inaczej. Piotr chciał mi odebrać film, a nie podejrzewał, że to pułapka. Taśma, którą mam w kieszeni, jest czysta, właściwy film posiada policja.

– Więc po co to wszystko?

– Bo tylko tak mogłem się przekonać, kto zamordował Michała.

– To nonsens – powiedziała Anette. – Piotr tego nie zrobił.

– A jednak!

– Nie, bo...

Jak krawieckie nożyczki materiał, pewnie i bez pośpiechu, dziób „Korala” rozciął ciemną, spokojną tafłę wody. Morze w oddali odbijało złotą lunę świateł Bastii. Miasto wydawało się wabić „Korala” niczym mityczne syreny Odyseusza. I tylko za rufą woda pieniała się, bełtała ostrzegawczo, przypominała Łuniewskiemu, iż czas płynie i jest go coraz mniej.



Obejrzał się. Piotr oraz Anette stali tak, jak ich przed chwilą zostawił. Z daleka przypominali parę zakochanych lub ludzi zafascynowanych widokiem. W rzeczywistości byli skrepowani, w ich ustach tkwiły kneble.

Łuniewski zrobił to niechętnie, jednak nie widział innego wyjścia. Nikt nie powinien mu przeszkodzić w jego zamiarach, a już tym bardziej Piotr i Anette.

Po kilku krokach zatrzymał się. Z dołu sączyło się wprawdzie światło, jednakże w kabinie pod pokładem, gdzie, jak się domyślał, znajdowali się Heniek Adamiak oraz Ewa, panowała cisza. Zapewne oboje siedzieli bez słowa, pogrążeni we własnych myślach.

Nie spodobało mu się to. Rozmowa, zwłaszcza głośniejsza, tłumiła kroki oraz gwarantowała, chociaż na razie, że nikt się niespodziewanie nie pojawi.

Zszedł na dół, przyłożył ucho do drzwi. Nic, nadal identyczna jak poprzednio cisza.

Komisarz Valacchi chyba dotrzymał obietnicy i w Bastii czeka już na „Korala” policja. Czekalaby pewnie i bez tego. Valacchi realizował przede wszystkim swoje własne plany i ich się trzymał niezależnie od okoliczności. Czas, jakiego wspomniałomyślnie użyczył Kostkowi, stanowił chwilową jedynie zwłokę.

Gdyby jednak Łuniewski teraz zawiódł, mogło dojść do nieprzewidzianych i groźnych komplikacji. Na jachcie znajdowało się jednak kilka osób, a człowiek zdecydowany na wszystko mógłby ich użyć jako zakładników w razie zagrożenia przez policję.

Tego właśnie Kostek obawiał się najbardziej i temu też musiał się postarać za wszelką cenę zapobiec.

Ostrożnie nacisnął klamkę przy następnych drzwiczkach. Na szczęście nie były zamknięte, uchylły się bez hałasu.

Giovanni Massino stał plecami do drzwi i sterował nonszalancko, z jedną ręką w kieszeni sztruksowej kurteczki, beztrąsko pogwizdując.

Łuniewski ścisnął w dłoni duży żelazny klucz, który niedawno odebrał Willnerowi, postąpił krok naprzód i...

Jakby wiedziony szóstym zmysłem Włoch odwrócił się. Zobaczył przybysza, jego twarz wykrzywiła się brzydkim grymasem. Zanim Kostek zdążył wykonać choć ruch, Massino błyskawicznie wyciągnął z kieszeni rękę razem z krótkim sztyletem, którym cisnął w Łuniewskiego.

Ten rzucił się w prawo. Nóż przeleciał ze świstem, odbił się o metalową framugę drzwi i upadł na podłogę.

Włoch głośno zaklął. Puścił ster. Silnik zawył ze zdwojoną, jak się wydawało, mocą, jacht prawie natychmiast zaczął tańczyć na wodzie, obracać się wokół własnej osi. Massino

zwinnie, tygrysim nieomal skokiem rzucił się na Łuniewskiego. Cios, jaki zadał głową w brzuch, przypominał uderzenie rozwścieczonego byka w szarzy na torreadora i trafił boleśnie w splot słoneczny. Metalowy klucz potoczył się po deskach, nogi stały się jak z waty.

„Muszę wytrwać” – przeleciało Łuniewskiemu przez głowę. Udał, że się osuwa na podłogę. Z gardła Włocha wydobył się szatański chichot, a on sam najwidoczniej postanowił zakończyć sprawę ostatecznie i definitywnie, gdyż sięgnął po nóż, leżący nie opodal.

Kiedy jednak się pochylił, Łuniewski poderwał się i całym swoim ciężarem zwałił mu się na plecy.

Runęli razem. Massino na spodzie, z głuchym łoskotem, twarzą do podłogi.

Łuniewski przedwcześnie się ucieszył. Nie spodziewał się, że będzie miał do czynienia z tak silnym i dobrze wyćwiczonym przeciwnikiem.

W oczach Massina pojawił się mściwy błysk. Ruchem nagłym i zwinnym jak wąż przekreślił się na bok. Jedną ręką złapał Łuniewskiego za włosy, przyciągnął do siebie jego głowę, drugą sięgnął po sztylet.

Łuniewski podbił mu ją, gdy była już blisko jego gardła, wykręcił w przegubie, wytrącił nóż, który ostrzem wbił się w podłogę. Za cenę dużego pasma włosów, które pozostało w dłoni Włocha, udało mu się również uwolnić głowę.

Massino szarpnął się i wtedy dostał pięścią w szczękę. Zatoczył się pod ścianę, ale szybko doszedł do siebie i oddał Łuniewskiemu. Już prawie się podniósł, kiedy Kostek znów go obalił i...

Do kajuty wpadł Adamiak. Kilkoma susami przyskoczył do Łuniewskiego, zaczął go odciągać od Włocha.

– Zostaw! – zawołał Łuniewski, lecz było już za późno. Massino w lot wykorzystał okazję, nadspodziewanie chyżo dopadł drzwi i wybiegł na pokład.

Zanim Łuniewski wyzwolił się z uchwytu Adamiaka, Włoch przeskoczył burtę i zniknął w morzu, w ciemnościach.

Kostek, który chciał zrobić to samo, poczuł szarpnięcie. Boleśnie przewrócił się na deski pokładu. Adamiak wyminął go i śladem Massina wskoczył do wody.

Komisarz Valacchi, który rzeczywiście, jak obiecał Łuniewskiemu, oczekiwał na przystani w Bastii na „Korala”, postarał się, ażeby on i jego ludzie, ubrani po cywilnemu, każdy z krótkofalówką, nie rzucali się specjalnie w oczy.

Porozstawiał ich po całym bulwarze, na którym już minął szczyt wieczornego ruchu. Około dwunastej ulice poczęły pustoszeć. Od pierwszej bary i restauracje wypluwały z siebie

pojedyncze już tylko grupki gości. O drugiej, a przed ostatnią falą, jaka się zwykle wylewała na ulicę wraz z letnim świtem, snuli się jedynie nieliczni przechodnie. Ich wydłużone cienie zdeformowane przez światło przejeżdżających samochodów, niknęły wstydliwie wraz ze swymi właścicielami w zakamarkach wąskich uliczek.

Inspektor Simonet, który stał nie opodal samochodu i melancholijnie wpatrywał się w wodę połyskującą jak złota suknia z lamy na pięknej kobiecie, nie wypuszczał z rąk lornetki. Jednakże ilekroć podnosił ją do oczu, oglądał aż do znudzenia ten sam niezmienny widok. Jeśli nie liczyć łodzi, które częściej przybijały niż odpływały, ruch był właściwie żaden. Natomiast daleko, na wschodzie, niebo różowiło, co zwiastowało świt.

Na bulwarze rozbrzmiały nadspodziewanie głośne, jak się wydało Simonetowi, kroki. Valacchi, który przymaszerował w swoich topornych trzewikach, stanął obok i zagadnął:

– Nic nowego?

– Nic – odparł Simonet i podał mu lornetkę. Valacchi oddał mu ją po dłuższej chwili i spojrzał na zegarek:

– Po drugiej już – zauważył smętnie.

W świetle latarni Simonet dostrzegł wyraz niezadowolenia, ba, niepewności na jego twarzy.

Prawdę mówiąc, Valacchi chyba nie tylko jego zaskoczył swoim ostatnim pomysłem. Czy jednak nie zaufał zbyt bezkrytycznie obcemu, a przez to nie wpadł we wcześniej zaplanowaną przez innych pułapkę?

Komisarz jakby czytał w jego myślach, bo powiedział:

– Lada moment powinni tu być.

Sztuczna pewność nie oszukała nie tylko Simoneta, lecz i jego samego. W końcu on właśnie, komisarz policji Valacchi, odpowiadał za wszystko. W porządku, jeśli się powiedzie. Lecz jeśli nie? Co wtedy? Czy będzie musiał się już na zawsze pożegnać ze swym stanowiskiem, nie licząc innych konsekwencji? Ach, jak wiele zależało obecnie od tego, czy „Koral” przyplynie do Bastii, czy też popłynie w innym kierunku razem z ludźmi, którzy wyśmieją naiwność starego Valacchi i spełnią kilka pięknych toastów za jego głupotę!

Ostatnia myśl ubodła komisarza tak bardzo, że aż się wewnętrznie wzdrygnął. Nie mógł jednak oszukać samego siebie. Uparcie drażyło go przecucie podstępu i mistyfikacji, których padł ofiarą. Posłużył do tego film, rzekomo nakręcony w grocie. Dzięki niemu cała grupa – komisarz nie wątpił obecnie w jej istnienie – zyskiwała czas na ucieczkę do takiego regionu czy kraju, gdzie mogła się uważać za bezpieczną i nieuchwytną. „Koral”, to znakomity jacht. Z mocnym silnikiem i zapasem paliwa dopłynie daleko.

Wściekał się sam na siebie. Wszak trzymał już prawie wszystkie nici w rękę, a tak łatwo dał je sobie wyrwać. Nabrano go jak pierwszego lepszego kaprala. I pomyśleć, że gdyby niepotrzebnie nie zmienił planu, miałby już nie tylko małą płótkę – don Carmela, ale i aresztowałby, jak zamierzał, również Massina i Willnera. A zrobiłby to jeszcze wtedy, gdy „Koral” stał w Bastii. Nie pozwoliłby mu na odpłynięcie nie wiadomo dokąd. Cóż z tego, że straciłby wówczas, jak zapowiadał ów Polak, Luniewsky, szansę na zdemaskowanie mordercy drugiego Polaka, Sobola, skoro wywiązałyby się z innego zadania?

Spojrzał z niechęcią na Simoneta. „Przez niego również to wszystko – pomyślał. – Gdyby nie on i gdybym tak bardzo nie chciał przytrzeć mu nosa, pokazać, na co jeszcze stać korsykańską policję...”

– Która godzina? – zapytał, jakby mu nagle zabrakło odwagi, ażeby spojrzeć na cyferblat własnego zegarka.

– Za pięć wpół do trzeciej.

Nad morzem rozjaśniało się. Zbliżało się przesilenie dnia i nocy; pora, która morzy nawet najwytrwalszych. Policjanci, niby niedbale przechadzający się po bulwarze, ziewali. Ich krótkofalówki milczały. Valacchi tracił resztkę nadziei.

Pierwszą rzeczą, którą uczynił gdy znalazł się w wodzie, było pozbycie się kłępującej mu ruchy kurtki i butów. Od razu poczuł się lżejszy i szybciej też, jak mu się wydawało, popłynął naprzód, w stronę brzegu. Liczył na to, że zanim jacht się zatrzyma i wykona odpowiednie manewry, on sam zdąży się oddalić pod osłoną nocy na bezpieczną odległość. A potem – szukaj wiatru w polu! Zawsze znajdą się ludzie, którzy pomogą.

Nie dał się zaskoczyć. Na widok Luniewskiego od razu zorientował się, co zaszło. Willner zawiódł, a więc nie pozostawało nic innego, jak wykorzystać ostatnią szansę.

Silnik jachtu ryczał na pełnych obrotach. „Koral” oddalał się z każdą chwilą, nikał w ciemnościach.

„Znakomicie – pomyślał – póki nie zastopują motoru i nie zmienią kierunku, jacht będzie płynął w przeciwną stronę, odległość będzie się zwiększać. Zanim zawrócą i domyśla się, gdzie mnie szukać – dawno zniknę”.

Po pewnym czasie pojął, że coś się zmieniło. Silnik umilkł i zapanowała nagła cisza. Nie to jednak go zaniepokoiło, ale pierwsze zwiastuny porannej szarości. Nad morzem wstawał świt, na szczęście – zauważył – razem z mgłą, która unosiła się nad powierzchnią wody i zapewniała osłonę, a tym samym dodatkową szansę ucieczki.

Starał się nie myśleć o swoich wszystkich bolących miejscach... Z cawla przeszedł na

żabkę, przy której ręce i nogi, zanurzone całkowicie w wodzie, nie czyniły żadnego hałasu.

Na morzu nadal panowała cisza. Czyżby zepsuł się silnik i teraz nie mogą ruszyć z miejsca? Pomyślał z ulgą, że w ten sposób sprawa rozwiąże się sama przez się. Pozwolił sobie na chwilowy oddech, na zmniejszenie morderczego, wyczerpującego tempa, obejrzał się – i zdrewniał.

Nie dalej jak kilkadziesiąt metrów za sobą zobaczył poprzez mgłę czyjąś głowę, która rytmicznie to wynurzała się, to znowu zanurzała, czemu towarzyszyły energiczne ruchy rąk. Ktoś płynął w tę stronę, chociaż z tej odległości trudno było poznać, kto.

Mimo iż nie należał do ludzi o słabych nerwach – poczuł strach. Zanurkował, żeby zmylić pościg.

Im bliżej wschodu słońca, tym bardziej mgła rzedła, a powietrze jaśniało. Kiedy ostrożnie wychylił głowę, aby zaczerpnąć powietrza, przekonał się, że odległość pomiędzy nim a tamtym niepokojąco się zmniejszyła.

Zanurkował powtórnie i wówczas poczuł, że traci siły. „Gdybym tak teraz miał akwalung, mógłbym gwizdać na wszystkich i na wszystko!” Niestety, musiał porzucić te piękne, nierealne marzenia i znów wypłynąć na powierzchnię.

Wtedy właśnie raptownie zatrzymało go silne szarpnięcie..

Łuniewski zastopował silnik, spuścił na wodę gumową dingi z wiosłami i ruszył w kierunku, gdzie – jak mu się zdawało – popłynął Massino, a za nim Adamiak. Prawdę mówiąc zdał się bardziej na intuicję. Zanim zatrzymał jacht i spuścił łódź, odległość między „Koralem” a tamtymi prawdopodobnie znacznie urosła.

Szarzał już świt i Anette od razu poznała dingi, która zwinnie oderwała się od jachtu. Na krótko zapomniała o swych problemach. Spojrzała na łódź, oddalającą się od „Korala” i niknącą w porannej mgle. Ach, gdyby teraz wykorzystać okazję i uwolnić się! Natychmiast skierowałaby jacht w inną stronę. Mogliby popłynąć z Piotrem do Ameryki Południowej i tam zaszyć się w którymkolwiek z tych małych lub większych państweczek, gdzie nikt nikogo o nic nie pyta. Albo wylądować gdzieś w Afryce. Piotr nieraz mówił, że „Koral” wytrzyma najdłuższą nawet podróż.

Zapytać o to niestety nie mogła. W jej ustach tkwił knebel, który od dawna, niestety bezskutecznie, starała się wypluć. Spojrzała tylko z ukosa na męża i z jego wzroku wyczytała, że myśli o tym samym.

A gdyby tak spróbować rozwiązać krępujący go drut? Na jachcie została tylko Ewa, która wychylona do połowy ciała za burtę śledziła łódź i Łuniewskiego, a na Piotra i Anette

nie zwracała, jak się wydawało, żadnej uwagi. Jeśli Piotr się jakoś uwolni, wówczas łatwo da sobie z nią radę.

Anette wyciągnęła zdętwiałe od ucisku palce w stronę dłoni Piotra. Piotr spojrzął wymownie, kiwnął głową na znak, że rozumie i zaczął się rytmicznie kołysać – raz w tę, raz w tamtą stronę.

Anette zamrugała powiekami. Dopiero po chwili domyśliła się, że w ten właśnie sposób zamierza rozluźnić drut.

Dingi razem z Łuniewskim zniknęła we mgle. Anette obrzuciła nieufnie wzrokiem pokład. Ewa Sobol jakby poczuła na sobie jej wzrok, gdyż spojrzała na nią. Anette trąciła Piotra, który natychmiast powrócił do dawnej pozycji. Ewa obserwowała ich jeszcze przez jakiś czas, nareszcie odwróciła się.

Anette odetchnęła. Gdzieś zza jachtu dochodziły jakieś głosy. Czas naglił.

Piotr rozluźnił dostatecznie drut, przechylił głowę w bok i oczami wskazał Anette swoje ręce. Wyprostowała palce, chwyciła metalowy splot. Łuniewski bardzo się musiał spieszyć, skoro skrępował go tak niestarannie.

Początkowo wydawało się jej, że wszystko pójdzie gładko. Zaraz jednak zmieniła zdanie. Mogła manipulować jedynie w bardzo ograniczonym zakresie. Na dodatek drut okazał się tak gruby i sztywny, że rozplatanie go wymagało nie lada siły.

Piotr, zauważając to, zaczął się niecierpliwić. Oczywiście, czasu nie mieli za wiele i rozumiała, że się denerwuje, jednakże nie przepuszczał chyba, iż zwleka bez powodu.

Ostre końce drutu zaczęły się wreszcie powoli rozginać. „Już niedługo – pomyślała – a Piotr będzie miał swobodne ręce i sytuacja się zmieni”.

Rozdzieliła już spory kawałek. Pozostał jeszcze tylko jeden, ostatni splot.

Właśnie wtedy mgła opadła, odsłaniając powierzchnię morza oraz dingi, która płynęła w stronę jachtu. Posuwała się jednak stosunkowo wolno, toteż Anette nie straciła nadziei. Teraz wszystko zależało od tego, kto będzie pierwszy. Jeśli zdąży rozsypać drut zanim łódź osiągnie „Koralą” – wygra. Jeszcze nikt nigdy nie dogonił na wiosłach motorowego jachtu.

„Tylko spokojnie” – powiedziała sobie, podczas gdy jej palce usiłowały uporać się z ostatnią przeszkodą. Dingi przestała być już ciemnym punktem na wodzie i z każdą minutą przybliżała się. Anette rozróżniała zarys sylwetki i ruchy wiosł, choć nie poznawała człowieka. Nagle wydało jej się, że to Massino. Jeśli tak, istnieje jeszcze wyjście, o którym dotąd nie pomyślała. Serce zabiło jej szybko i mocno, bardziej jednak ze strachu. W jednej chwili wyobraziła sobie, co jej grozi. Massino raczej nie znał się na żartach, więc i tego, że go naraziła na kłopoty, nie potraktowałby jako dowcip. Tysiąc razy mogła się powoływać na

sytuację, na okoliczności, ale i tak by jej to pewnie mało pomogło.

Z ulgą stwierdziła, że ścisły dotąd druciany splot rozluźnia się. Jeszcze trochę, a będzie po wszystkim.

Plusk wiosła zasygnalizował, że łódź znajduje się już w pobliżu „Koral”. Nadchodził decydujący moment.

Anette chwyciła drut palcami obu rąk i szarpnęła, ile sił. Puściło.

Dingi dobijała do jachtu, zasłonięta jednakże jego wysokimi burtami. Anette i tak nie patrzyła w tę stronę. Obserwowała Piotra z oczekiwaniem, które przerodziło się w wyraz zawodu i bezsilnej złości. Mimo iż oba końce drutu zwisały już luźno, rozplątane, Willner nie postąpił ani o krok. Tkwił w dawnej pozycji.

I nie mogło być inaczej, skoro pod metalową kluzą znajdował się jeszcze jeden splot...

Anette zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła i spojrzała przez ramię za siebie, zobaczyła Giovanniego Massina. Włoch również ją spostrzegł i zaczął głośno przeklinać.

Te popisy elokwencji przerwał Adamiak, popychając Massina w sposób, który z trudem można by nazwać delikatnym, w kierunku kajuty.

Łuniewski wciągnął dingi na pokład. Na widok Ewy Soból podniósł głowę i oznajmił:

– Wracamy do Bastii. Czekają tam już nas i pewnie zaczynają się niecierpliwić...

Niebo na wschodzie poróżowiało. Nadchodził ranek, a wraz z nim rozwiewały się ostatnie złudzenia komisarza Valacchiego. W chwili, gdy był już bliski całkowitej rezygnacji, odniósł wrażenie, że na morzu pojawił się jakiś ciemny punkt i że żegluje on w stronę Bastii.

Wziął lornetkę, nastawił ostrość i naraz na jego twarzy ukazał się wyraz triumfu.

– Niech pan spojrzy – powiedział i oddał lornetkę Simonetowi. – „Koral” płynie w naszą stronę...

## Rozdział 11

– Jak na to wszystko wpadłeś? – zapytała Ewa i spojrzała na Kostka Łuniewskiego z oczekiwaniem.

Nie odpowiedział od razu. Z ciekawością rozglądał się po pokoju. Ewa Sobol zamieniła swoje dotychczasowe mieszkanie na inne, na osiedlu Zaspą w Gdańsku. Osiedle składało się z wielkich bloków, poustawianych półkolami na wzór gigantycznego plastra miodu, tak identycznych, że gdy Łuniewski szukał właściwego, niemal się zgubił.

Na szczęście nowe mieszkanie Ewy okazało się zupełnie niezłe i Kostek był zadowolony, że może je szczerze pochwalić. Wyszedł wraz z Ewą na dużą loggię, skąd rozciągał się szeroki widok, prawie do morza. Nie musiał go głośno podziwiać, lecz uczynił to, ażeby sprawić Ewie przyjemność.

Po powrocie do pokoju zauważył, że Ewa zmieniła nie tylko mieszkanie, lecz i meble. Nowy komplet składał się z puchatej wersalki o jasno pomarańczowym pokryciu, dwóch dużych foteli, długiego, niskiego stolika, telewizora oraz regału na książki, wśród których przeważały medyczne. Było ich więcej niż w dawnym mieszkaniu, co sugerowało, iż Ewa pracuje intensywniej niż przedtem. Kiedy ją o to wprost zapytał, odpowiedziała krótko, że chce robić specjalizację i szybko zmieniła temat.

– Kawy się napijesz czy herbaty? – zagadnęła. – Mam jedno i drugie, ale namawiam na herbatę. Jest świetna, angielska.

– Niech będzie – zdecydował Łuniewski.

Przyniosła talerz drobnych ciasteczek, raczej kupionych niż domowych, cukier i miskę włoskich orzechów.

– Na herbatę musisz trochę poczekać, woda się jeszcze nie zagotowała. Na razie, żeby ci się nie nudziło, popracuj trochę.

Wręczyła gościowi dużego drewnianego dziadka do orzechów, zachęciła do zajęcia miejsca w fotelu.

– Tu będzie ci najwygodniej.

– A ty?

– Ja usiądę na wersalce. No, a teraz opowiadaj, jak na to wszystko wpadłeś?

– To długa historia – odparł.



Rozbił z trzaskiem pierwszego orzecha i podał go kurtuazyjnie na dłoni. Ewa uśmiechnęła się, ale nie odmówiła.

– Nie wiem od czego zacząć – oświadczył Łuniewski.

Nie tyle nie wiedział, ile trochę obawiał się reakcji Ewy. W końcu wszystko było jeszcze tak świeże...

– Może od Anette? – zaproponowała. – Ją przecież najbardziej kiedyś podejrzewałam.

Łuniewski rozłupał następnego orzecha, tym razem dla siebie.

– Wcale się nie dziwię. Przekonywające na pozór motywy, obecność na miejscu zbrodni, osobliwe zachowanie się w nocy, kiedy rzekomo zginął nóż, którym w istocie rzeczy posłużył się potem sam Massino...

– Historia z kradzieżą czy też z zaginięciem noża została zwyczajnie zmyślona...

– Właśnie. Massino zrobił tak dla zagmatwania wszystkiego i odwrócenia uwagi od właściwego sprawcy. Na dodatek wplątała się tu przypadkowo Anette...

– Skąd jednak Anette wiedziała, że to Massino zabił... – Ewa zawahała się, ale po chwili, pewniej już powtórzyła zabił Michała?

– Widziała morderstwo z ukrycia za skałą, więc jej zeznania, jako bezpośredniego świadka zbrodni, najbardziej obciążąły Massina.

Łuniewski rozbił kolejnego orzecha, podał go Ewie, która jednakże tym razem odmówiła.

– Mów dalej!

– W gruncie rzeczy Anette szła za twoim mężem w zupełnie innym celu. Raz już próbowała – nie udało jej się; ja jej przypadkowo przeszkodziłem. Jednakże nie zrezygnowała.

– Dobrze wiem, jaki to cel. Nie musisz wyjaśniać. Heniek Adamiak dawno cię już wyręczył. Wiedziałam o wszystkim.

Pokręcił głową.

– To niezupełnie tak. Czasem trudno zrozumieć kobiety pokroju Anette Willner...

– Ja je znam! Nie cofną się przed niczym, gdy chodzi o zdobycie mężczyzny, a zwłaszcza o odebranie go innej kobiecie, chociażby dla własnej satysfakcji. A Michał podobał jej się już od samego początku. Trudno było tego nie zauważyć. I pomyśleć, że kiedyś zamierzałam z nią na ten temat rozmawiać, przekonywać, żeby zrezygnowała z Michała. Zupełnie jak grzeczna dziewczynka, która prosi drugą o pozwolenie na zabawę jej własną lalką.

– Zdaje się, że masz rację. Nie wiem, czego wtedy Anette od mego chciała, może tylko

jakiejs rozmowy, a może uważała, że sam na sam...

– Kostek, proszę cię!

– Rzeczywiście, masz rację. W każdym razie, przerażona morderstwem, które zostało dokonane nieomal na jej oczach, uciekła z płaskowyzu. Zbiegła w dół, gdzie natknęła się z kolei na ciebie...

– Dlaczego nie zdradziła się wtedy ani słowem?

– Bała się. Wiadomo, co łączyło Piotra i ją z Massinem. W końcu to czy owo wiedziała. A czy znasz człowieka, który dobrowolnie zakłada sobie stryczek na szyję? Założę się, że aż do końca nie zdradziłaby się ani słowem, gdyby nie została do tego właściwie zmuszona nieprzewidzianymi okolicznościami.

– Ale po co oboje z Piotrem wplątali się w taką paskudną historię?

– Piotr wdał się w jakieś niepewne interesy, które przyniosły mu duże straty zamiast planowanego zysku. Nie powiodło mu się, w wyniku czego firmie, w której zaangażowane były przede wszystkim pieniądze teścia, zagroziło bankructwo. To jedna przyczyna. Istniała i druga. Od pewnego czasu coś się popsło w małżeństwie Piotra z Anette. On sam zaczął podobno romansować z innymi kobietami, tak twierdzi w każdym razie Anette, stał się gościem w domu. Anette, trochę z nudów, a trochę i na złość mężowi, jeździła do kasyna w Monte Carlo, gdzie więcej przegrywała niż wygrywała. Ani się spostrzegła, jak zabrnęła w długi. Piotr znalazł się właściwie w ślepym zaułku. I wtedy zjawił się ktoś, kto mu podsunął wyjście.

– Kto?

– Wysłannik gangu. Zaproponował, że może nie tylko spłacić zadłużenie, ale gwarantuje dodatkowe zyski w przyszłości, jeżeli Piotr będzie się dobrze wywiązywał ze swych zadań, pozornie zresztą prostych. Polegały one na tym, że Willner miał od czasu do czasu pływać na Korsykę i stamtąd przywozić swoim jachtem do Nicei pewne przesyłki. Były to narkotyki. Lecz któż by podejrzewał o taki proceder współwłaściciela firmy projektowej, człowieka o przyzwoitej opinii?

Łuniewski rozbił ostatniego orzecha, odsunął miskę z łupinami, odłożył dziadka.

– Mimo wszystko nie pojmuję, dlaczego Piotr się zgodził? Czy nie miał innego sposobu? Dlaczego nie zwrócił się wtedy do policji?

– Wierzyście by go i tak zrujnowali, a policja? Złapałaby pewnie tylko jakąś małą płotkę, podczas gdy rekiny pływałyby nadal spokojnie. Tacy ludzie mają zwykle długie ręce i bardzo nie lubią nadmiernego gadulstwa.

– No więc się zgodził...

– Tak. Podobno niechętnie, ale tak. Potem również, choć bardzo mu już ciążyła owa „współpraca”, nie umiał, więcej, bał się od niej uwolnić.

– Zemsta gangu, co? Brzmi sensacyjnie...

– Tylko dla czytelników książek lub gazet; nie dla tych, którym grozi.

– Poczekaj! – poderwała się nagle Ewa. – Zdaje się, że woda się zagotowała.

Wyszła szybko do kuchni, skąd po chwili dobiegły go słowa:

– Mocną chcesz?

– Może być! – odkrzyknął Łuniewski.

Przeszło kilka minut, wypełnionych odgłosami krzątania w kuchni. Gość zaproponował swoją pomoc, lecz Ewa odmówiła i po kilku dalszych minutach ukazała się nareszcie z dwiema szklankami herbaty na tacy, którą postawiła na stole i do której dołączyła jeszcze butelkę winiaku.

Łuniewski wziął swoją szklankę. Była gorąca, poparzył sobie palce, lecz herbata była rzeczywiście świetna: mocna i aromatyczna. Ewa wiedziała, co zachwala.

– Lecz skąd właściwie narkotyki na Korsyce?

– Dostarczał je tam z Włoch Massino, także jeden z kurierów gangu. Rozumiesz? Cała siatka przerzutowa, z Bliskiego Wschodu poprzez Włochy, do Francji i dalej, przy zachowaniu wszelkich wymogów bezpieczeństwa i konspiracji. Jeden znał tylko jednego... Jeżeli Massino przywiózł przesyłkę z narkotykami wcześniej, wówczas umieszczał ją w specjalnej, bezpiecznej kryjówce. Stamtąd transportowano ją następnie na jacht Piotra Willnera.

– A ten... no wiesz, ten właściciel bistra w Bastii, don Carmelo. Przecież to u niego w końcu policja znalazła podobno narkotyki...

– Ach, don Carmelo to całkiem malutki pionek, używany w charakterze zabezpieczenia na wszelki wypadek. Massino wykorzystał go tym razem, ponieważ musiał przenieść narkotyki z dotychczasowej skrytki gdzie indziej. Zrobił to zresztą tak umiejętnie, że gdyby nie fakt, iż don Carmela policja już od dawna miała na oku i że komisarz z Bastii uparł się, żeby go aresztować i przeprowadzić rewizję, może by ich i dotąd nie wykryto. Celowo wybrano porę tuż przed odpłynięciem „Koralu”, no i przyłapano don Carmela na gorącym uczynku. W ręce policji wpadła równocześnie przesyłka warta miliony franków.

– Ogromne pieniądze, prawda?

– Niestety, bo dla ich zdobycia niektórzy ludzie nie zawahają się przed żadnym przestępstwem, z morderstwem włącznie. Ci, którzy przypadkowo wejdą w drogę, muszą zginąć. Nie liczą się żadne sentymenty, względy, zasady moralne, a tylko i wyłącznie

pieniądz oraz bezpieczeństwo grupy.

– Szkoda, że mój Michał tego nie przewidział!

– Nie tylko Michał, my wszyscy nie zdawaliśmy sobie przecież sprawy, z kim mamy do czynienia. Piotr był w końcu naszym klubowym kolegą. Zналиśmy go raczej z dobrej niż ze złej strony, choć zawsze moim zdaniem nazbyt lubił pieniądze. No, a Massino? Sama wiesz, że Piotr przedstawił go nam jako swojego znajomego, nic więcej. Niektórych z nas drażniło wprawdzie niekiedy jego zachowanie, ale skąd mieliśmy wiedzieć, że za maską uśmiechów, kwiecistej wymowy i przesadnej gestykulacji kryje się zdecydowany na wszystko przestępca? Zaproszenia od Piotra również mogły dziwić, a nawet zastanawiać niespodziewanym nawrotem uczuć, ale nie dawały podstaw do podejrzeń, że to podstęp.

Ewa odkorkowała butelkę z winiakiem.

Łuniewski wyjął ją jej z rąk.

– Pozwól, że naleję.

Napełnił oba kieliszki i wtedy Ewa spostrzegła, że wypił już swoją herbatę.

– Chcesz jeszcze trochę?

– Może – zgodził się – pół szklanki.

Przyniosła całą, a kiedy już usiadła, zapytała:

– Podstęp, powiedziałeś. Czy to nie za mocne określenie?

– Wydaje mi się najtrafniejsze. Piotr zawsze miał opinię swego rodzaju cwaniaka, ale ostatni jego pomysł był naprawdę oryginalny. Ponieważ od pewnego czasu obawiał się, iż policja wpadnie na jego trop, a doszedł do wniosku, że najwięcej podejrzeń budzą regularne, samotne rejsy na Korsykę, na kolejny zaprosił nas – dawnych znajomych z Polski. Zyskiwał w ten sposób świetny pretekst: wspólny urlop, wspólne nurkowanie.

– Swoista „klapa bezpieczeństwa” – zauważyła Ewa.

– Coś podobnego. Policja, jak później się zorientowałem, wręcz gubiła się w domysłach na temat naszej roli w całym przedsięwzięciu. Zdaje się, iż snuto nawet spekulacje, że zamierzamy uruchomić nowy kanał przerzutowy dla narkotyków, tym razem na wschód. Już więc od samego początku Piotr wpakował nas w głupią, niezręczną i nieprzyjemną sytuację.

– Ale do czego miała mu wobec tego służyć bajeczka o skarbach Rommla?

– Wcale nie bajeczka. Sprawdziłem. Afrika Korps Rommla rzeczywiście splądrował północną Afrykę, skrzynie załadowano na kuter i zatopiono nieopodal wybrzeży Korsyki. Do dziś dnia istnieją dokumenty z procesu w Spezii we Włoszech, a bosman Fleig i mecenas Cancellieri istnieli naprawdę, chociaż z poprawką, że ten ostatni miał swoją kancelarię nie w

Nicei, ale w Marsylii. Skarbu dotąd nie wydobyto, kolejni fanatycy nadal go poszukują. To zresztą dość znane także i u nas sprawy. Niedawno wpadła mi nawet w ręce książka, w której jest więcej szczegółów na ten temat: „Skarby na dnie mórz”. Może i Piotr oparł się w swoim opowiadaniu na czymś podobnym, dla ubarwienia dodał jeszcze włóczęgę z nicejskiej plaży, starą mapę i tak dalej.

– A może jednak żywił jakieś złudzenia? Może myślał, że przy naszej pomocy natrafi na zaginiony skarb?

– Trudno się teraz nad tym zastanawiać. Musiał mieć w każdym razie na podporządku jakąś prawdopodobną wersję na wypadek, gdybyśmy za bardzo zaczęli się dopytywać o rzeczywisty cel wyprawy. Nie zapominał też o policji. Jeśli uwierzyliśmy my, dlaczego nie miała uwierzyć również, a może przede wszystkim, i ona? Więcej; ponieważ znaleźliśmy tylko ten jeden, fałszywy pretekst wyprawy, byliśmy dla Piotra dodatkowym alibi. Policja mogła nas sto razy wypytywać o powód przybycia tutaj i za każdym razem z pełnym przekonaniem podawalibyśmy jej ten sam.

– Kapitalne! Piotr rzeczywiście zabezpieczył się na wszystkie strony! Pewnie i dlatego straszyl nas korsykańskimi mafiosami, gangsterami i innymi niebezpieczeństwami, grożącymi poszukiwaczom skarbów.

– A co? Miał powiedzieć, że w ludziach, którzy tak uparcie krążyli od pewnego czasu wokół nas, domyśla się bynajmniej nie członków mafii, ale policjantów?

– Mówiąc szczerze, ci dwaj faceci, na których natknęłam się parę razy, rzeczywiście wyglądali na gangsterów. Ale na policjantów? Aż mi się nie chce wierzyć!

– A jednak! Tropili kanały przerzutowe oraz szukali skrytki z narkotykami.

– Tak jawnie, niemal prowokacyjnie? Nie dziwi cię to?

– Może specjalnie? A jeśli chcieli celowo nastraszyć Willnera i Massina, sprowokować ich do nerwowego działania i pospiesznej, nie przemyślanej reakcji, bo wtedy łatwiej wpaść na trop?

– Szkoda tylko, że nie wywiązali się niestety celująco ze swoich zadań.

– Massino to wytrawny przeciwnik. Nie złapał się na podstęp i nie sięgnął do skrytki, ażeby przenieść gdzie indziej narkotyki. Stąd i rachuby policji zawiodły.

– Jak to? A don Carmelo, u którego przecież podobno znaleziono narkotyki?

– Wszystko z powodu odkrycia Michała. Skrytka znajdowała się w grocie. Narkotyki były umieszczone w szklanych lub plastikowych szczelnych kulach, ładując naśladowujących pławiki przy sieciach rybackich. W tej właśnie postaci, prawdopodobnie razem z sieciami, Massino przywoził je na Korsykę i ukrywał w grocie. Przymocowane na długich nylonowych

żyłkach do skał, wisały sobie głęboko w wodzie i czekały. Wystarczyło je jedynie wyciągnąć i zastąpić nimi pławiki przy sieci, którą Piotr miał na jachcie.

– Jak na to wpadłeś?

– Dzięki filmowi Michała, który, chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zarejestrował wszystko na taśmie. Komisarz Valacchi powiedział mi resztę... Gdyby nie to, najprawdopodobniej nadal korzystano by ze skrytki przy następnych przerzutach narkotyków. Zwłaszcza, iż zanim policja do niej dotarła – Massino zdążył już przetransportować wszystko do don Carmela, gdzie czekały na dalszą drogę, czyli na „Koralą”. Wiem nawet, kiedy to się stało. Pamiętasz jego wyjazd motorówką do Bastii? Tak, to było właśnie w dniu morderstwa. Miałem rację, że się tak spieszyłem i szczęście, że znalazłem grootę jeszcze przed Massinem. Nadciągnął tam przecież chyba wkrótce po mnie. Gdyby mnie zauważył, mogło się ze mną stać to samo, co niedawno z Michałem. Potrzebował jednak czasu, aby po zamordowaniu Michała zejść na dół i dotrzeć do motorówki. To mnie ocaliło i ocaliło również film, jeden z ważniejszych, jak się następnie okazało, dowodów.

– Czy jednak Michał stanowił dla Massina aż taką przeszkodę, że ten musiał go usunąć, zabić?

– W jego przekonaniu – tak. Michał nie tylko odkrył grootę, ale i – nie zapominaj – wybierał się tam powtórnie. Do tego Massino nie mógł już dopuścić, przynajmniej do chwili, dopóki nie usunie stamtąd narkotyków.

– A Piotr? – zagadnęła Ewa. – Czy był wtajemniczony w to wszystko? Czy wiedział?

– Wierzę mu, że nie. W przeciwnym przypadku nie podejrzewałby o ten czyn własnej żony, a tak przecież było. Prawda?

– Tak – przyznała Ewa. – Ale – zwróciła uwagę – zdaje się, że nie wypiteś jeszcze swojego winiaku?

– Och, rzeczywiście – spostrzegł i podniósł do ust kieliszek.

Ewa podsunęła kolejne ciastko.

– Dlaczego jednak to Piotr a nie Massino chciał ci zabrać film?

– Przypuszczam, że albo z powodu słabszych nerwów – nie wytrzymał psychicznego napięcia – albo też namówiony przez Massina, który wolał pozostać w cieniu. Piotr uwierzył, że jeśli zaskoczy mnie w ciemnościach i lekko ogłuszy, nie potrafię wskazać sprawcy i wszystko znów zostanie złożone na karb przypadku.

– Takich przypadków było w czasie naszej podróży sporo – zauważyła Ewa.

– Czasem wierzę w przeznaczenie, w swoiste ostrzeżenie losu. A ty?

– Bo ja wiem... Jeśli chodzi o Heńka, moim zdaniem po prostu za wiele wypił. Stracił

równowagę przy którymś przechyle, uderzył o coś głową, wyrócił się. Gdyby nie ty i Anette, fala jednak rzeczywiście mogła go zmyć z pokładu i tragedia gotowa.

– A Anette? Dlaczego chciała skakać do morza?

– Reakcja na sztorm, na przestkach. Takie rzeczy zdarzają się nieraz także silnym mężczyznom i także na większych jednostkach.

– Jest jeszcze jedno ostrzeżenie losu: odłamek skalny, który mnie o włos nie zabił.

– Sam twierdziłeś, że to erozja gruntu albo Anette, która naruszyła niechcący stabilność skał na górze.

– A zacięcie się automatu przy akwalungu Michała? Sama widzisz; niby każdy przypadek z osobna można racjonalnie wytłumaczyć, ale wszystkie razem? Prawdziwy pechowy rejs.

– Leczył tylko jeden Michał z niego nie powrócił.

– Michał zginął, bo wszedł w drogę Włochowi Massino. Sztorm, który spowodował awarię „Koralu”, wpłynął na zmianę planów. Piotr zamierzał wylądować zupełnie gdzie indziej, tam spotkać się z Massinem, pobyc parę dni dla zachowania pozorów i po przetransportowaniu narkotyków na jacht ruszyć z powrotem do Nicei. Tymczasem wszystko się skomplikowało.

– Jak jednak wpadłeś na ten ostatni pomysł, wiesz, z filmem? Sam?

Łuniewski dopił resztkę winiaku.

– Widzisz, trochę trudno to sprecyzować; sam czy nie sam. Gdy już wiedziałem, co jest na filmie i kiedy Valacchi nabrał jednak do mnie pewnego zaufania, zaproponowałem mu pomoc. Powiedziałem, że skoro brak dowodów, kto zamordował Michała, postaram się je zdobyć.

– No i komisarz przystał, a podstęp się udał?

– Liczyłem na to. Byłem przekonany, że jeżeli ktoś nie zawahał się przed morderstwem, tym bardziej nie zawaha się przed zabranie filmu, na którym mogą się znajdować dowody istnienia skrytki w grocie. Piotr złapał się na haczyk jak ryba na przynętę, a gdyby nie Anette, która go wybawiła w pewnym sensie z opresji i powiedziała, jeszcze na „Koralu”, że widziała morderstwo i zna mordercę, znalazłby się naprawdę w nieprzyjemnej sytuacji. I to już właściwie wszystko...

Wieczorna szaruga za oknem niepostrzeżenie stała się nocą. Po cienkich kreskach torów, widocznych w dole, przebiegały węże oświetlonych już pociągów.

– Massina dostarczyłeś policji prawie jak kelner – prosto na stół. Wcale ładnie załatwiłeś za nich całą robotę. Nie musieli się później specjalnie wysilać. Wystarczyło jedynie

założyć kajdanki i sprowadzić na ląd, do samochodu. Ot, wszystko.

– Musiałem. Obawiałem się, że skoro Massino zorientuje się, iż w Bastii czeka już na niego policja, może w razie niebezpieczeństwa użyć kogoś z nas jako zakładnika... Zresztą, nie byłem przecież odosobniony. A Heniek Adamiak?

– Przynajmniej tak się zrehabilitował – zażartowała. – Naprawił to, co przedtem zepsuł.

– Trudno go za to winić. Postaw się w jego sytuacji. Najpierw czuje, że z jachtem dzieje się coś niedobrego, potem widzi zakrwawionego Massina na podłodze i mnie, powiedzmy, „w akcji”. Wiedziałaś od razu, co o tym myśleć?

– Chyba nie – odparła.

– No widzisz, on także nie miał przecież o niczym pojęcia. Chciał nas po prostu rozdzielić. Skąd mógł przypuszczać, że to zupełnie inaczej wygląda i że Massino wykorzysta okazję?

– Niezłe się z nim namęczył tam, pod wodą – stwierdziła Ewa. – Tak się podobno z nim szarpał, że o mały włos a sam byłby utonął.

– Opowiadał ci? – zapytał Kostek.

– Co nieco.

– Uważam, że i tak miał wiele szczęścia, że na niego trafił. W morzu, po ciemku... To wcale niełatwe.

– Wiesz przecież, ile ma siły i jak pływa, no, a wtedy nie wypił ani kieliszka.

Łuniewski podniósł się, zamierzał się pożegnać.

– Czas na mnie – powiedział.

Ewa powstrzymała go.

– Ale, ale, jesteś mi wciąż winien odpowiedź na pytanie, jakim właściwie sposobem i od kogo dowiedziałeś się tego wszystkiego?

Kostek, dotąd opanowany, zaczerwienił się.

– Coś w rodzaju małego rewanzu, prezent od policji W zamian za pewną przysługę.

– Rzeczywiście, że też się wcześniej nie domyśliłam! Coś poza tym było również?

– Specjalne podziękowanie i pieniężna nagroda.

– O, spodziewam się, że za tę ostatnią będziesz mógł w przyszłym roku jechać na urlop na Korsykę?

– Nie mam zamiaru. A chociaż pewien fotograf z Bastii zwykł mawiać, że nie zna zakątka piękniejszego na świecie, jestem trochę innego zdania... No, ale teraz naprawdę muszę już wracać do moich chłopaków, do Hufca.



Przyniosła mu płaszcz z wieszaka w przedpokoju.

– Może opowiesz im kiedyś o tym wszystkim?

– Może... – odpowiedział.